Nowy duch łowiectwa polskiego.

Myślistwo na Zachodzie otrząsa się z dawnych przeżytków... Jak ongi przed stu laty pozbyło się praktyk czarnoksięskich — tak obecnie pozbywa się powoli błędnych wierzeń i dogmatów, które przetrwały do dziś dnia pomimo postępu wiedzy łowieckiej. Polska nie może pozostać w tyle w tym tryumfalnym pochodzie myślistwa ku słońcu prawdy.

Przyroda mędrszą jest od człowieka. Żadnego z jej tworów wytępić bezkarnie nie można. Każdy szkodnik jest też pożyteczny — rzucili hasło głosiciele nowego ducha. Odpowiedziano im z oburzeniem: szkodniki tępią pożyteczną zwierzynę. Musimy je przeto niszczyć.

Lecz głosiciele nowej wiary zapytali, jaka zwierzyna jest pożyteczną, a jaka szkodliwą? i dlaczego? Odpowiedź na to pytanie wykazała cały bezsens i całą sztuczność podziału zwierząt łownych na pożyteczne i szkodliwe. Podział ten odrzucić należy coprędzej, jako zbyt bezwzględny i wysoce niesprawiedliwy, bo oparty na chwiejnych kryterjach. Największym tryumfem nowoczesnej myśli łowieckiej jest obalenie tego podziału i rozszerzenie ochrony zwierzostanu i na upośledzone ongi zwierzęta „szkodliwe“.



Żubrzyca z małem żubrzątkiem, urodzonem w zwierzyńcu poznańskim.

Najpiękniejszą zdobyczą nowoczesnego łowiectwa jest zrozumienie przez ogół myśliwych konieczności ochrony przyrody.

Chronić ginące zwierzęta łowne poczęto już przed pięciuset laty... Otaczano opieką tury, żubry, bobry... Lecz jednocześnie tępiono bez litości innego zwierza puszczy i ptactwo łowne, polując o każdej porze roku, polecając chwytać w sidła nawet ptaki siedzące na jajach... Lecz etyka łowiecka uszlachetniła z biegiem lat duszę myśliwego. Począł coraz gorliwszą ochroną otaczać pożyteczne gatunki zwierząt. Szkodniki były nadal tępione.

I oto dziś dopiero — po wiekach dziejów łowieckich — człowiek doszedł do tego tak prostego wniosku, ażeby ochronę przyrody roztoczyć na wszystkie jej twory. A do wniosku tego doszedł nie rolnik, nie leśnik, lecz właśnie i przedewszystkiem myśliwy tak niesłusznie i tak systematycznie oczerniany przez wszystkich jako ten, który zabija, tępi i niszczy co może.

W powieści i w teatrze minął bezpowrotnie czas „czarnych“ i „jasnych“ charakterów, z których pierwsze były uosobieniem zbrodni, nikczemności i podłości, drugie zaś wcieleniem wszystkich cnót i ideałem doskonałości.

Czemuż więc w łowiectwie miałby trwać podział zwierzyny na „czarne“ i na „jasne“ charaktery? Mówiąc nawiasem podział ten przypominał mocno moralność dzikiego, który nazywał złym uczynkiem, jeżeli ktoś jemu coś ukradł, a dobrym uczynkiem, jeżeli on coś komuś ukradł.

Zastanówmy się choć chwilę, które ze zwierząt łownych nazywamy pożytecznem, a które szkodliwem? I dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie otrzymamy oczywiście w zależności od fachu pytanego. Rolnik, leśnik i myśliwy różnie nam odpowiedzą. Weźmy dla przykładu zwierzynę płową. Rolnik nazwie ją szkodliwą, leśnik również, myśliwy zaś — pożyteczną. Dziki szkodliwemi są dla rolnika, bardzo pożytecznemi dla leśnika. Myśliwy najniesłuszniej pozwala je tępić o każdej porze roku.

Mówiąc w tym duchu o pożytku i szkodliwości zwierzyny stajemy na stanowisku materjalnym, kupieckim, niskim i niegodnym myśliwego. A właśnie w tym duchu brzmią zasady na których oparty był podział zwierzyny na pożyteczną i szkodliwą.

Lecz zasady te przeżyte i wypaczone doprowadziły właśnie ów podział do absurdu. Bowiem jak słusznie podkreśla p. Funk, niemiecki pisarz łowiecki, „z punktu widzenia materjalnych zysków nie ma wogóle zwierząt pożytecznych“. Nie są zaś niemi zwłaszcza te, które zaliczały dawne kanony do pożytecznych. Czyż wobec tego ma wogóle sens rozróżnianie dwu grup zwierzyny: pożytecznej i szkodliwej? Czyż wobec tego mamy prawo do odmówienia rzekomym „szkodnikom“ koniecznej ochrony?

Nagłą i konieczną sprawą jest doraźne zapewnienie opieki prawnej dzikom, zaprzestanie tępienia lisów, kun leśnych, borsuków.

Nagłą i konieczną rzeczą jest wpojenie przekonania w szerokie koła prawidłowych myśliwych, że tępienie jakiegokolwiek stworzenia jest czynem nie-etycznym i nie-myśliwskim. Słowo „tępić“ i „niszczyć“ musi być raz na zawsze skreślone ze słownika myśliwskiego w Polsce.

Chciałbym uniknąć nieporozumień. Tępić niewolno żadnej żywej istoty. Jeżeli jednak któreś ze zwierząt drapieżnych zbytnio się rozmnoży w rewirze i zagraża bytowi innych zwierząt, wówczas myśliwy ma prawo i obowiązek łowiecki drapieżniki odstrzeliwać, by ilość ich unormować i stratom zapobiedz. Nie jest to jednak tępienie — lecz mądra i zapobiegawcza łowiecka gospodarka. Rozum i takt myśliwego - hodowcy, znajomość łowiska i obyczajów zwierzyny — jest najlepszą gwarancją, iż odstrzał szkodników nie będzie równoznaczny z ich doszczętnym wytępieniem.

Drapieżniki bowiem—jak to stwierdziły liczne obserwacje — oddają nawet pożytecznej zwierzynie ważną (choć mimowolną) usługę. Pożerając najsłabsze sztuki — przyczyniają się do wzmocnienia gatunku — będąc „policją sanitarną lasu“ — jak je przyjęto nazywać na Zachodzie.

I jeden jest tylko szkodnik w myślistwie, którego winien każdy z nas tępić wszelkiemi dostępnemi środkami: szkodnikiem tym jest nieprawidłowy myśliwy.

Juljan Ejsmond.

Rozstrzygnięcie Myśliwskiego Konkursu Fotograficznego.

Na posiedzeniu w dn. 17/X br. jury konkursu fotograficznego pp.: red. Juljan Ejsmond, Włodzimierz Korsak i dyr. B. Perzyński po rozpatrzeniu materjału licznie nadesłanego na Konkurs postanowili przyznać następujące nagrody:

I Dział: Scena myśliwska z polowania.

I Nagroda:
„Powrót do łodzi z pardwami“—dr. F. Hłasko i p. T. Zalewski. Warszawa.

II Dział: Fotografja żywych zwierząt łownych.

I Nagroda:
„Kuna leśna“—p. Wiktor Meske. Dobra Ożarów, z. Kaliska.

III Dział: Pies myśliwski.

I Nagroda:
„Hodowla z nad Gopła“ — p. Ig. Jasiński. Strzelno, Wielkopolska.

IV Dział: Piękny pokot.

I Nagroda:
„Po polowaniu na wilki“ — p. Marjan Świackiewicz. Woj. Nowogrodzkie, p. Orany, maj. Marjanów.

V Dział: Trofea myśliwskie.

I Nagroda:
Wieńce jelenia. Wykopalisko — p. Gepner.

Pozatem jury wyróżniło następujące zdjęcia fotograficzne:

Dział I.
„Puszczanie sokoła“—Leśn. Feliks Gramowski

Dział II.
„Kozioł“ — p. prez. B. Świętorzecki.
„Jeleń i łania“ — p. W. Meske
„Sarny“ — „
„Gołębiarz w pułapce“ — „

Dział III.
„Pies myśliwski“ — p. dr. Hłasko.
„Psy“ — p. Marjan Świackiewicz.
Dział IV.
„Na legowisku“ — p. prez. Świętorzecki.
„Głuszce“ — „ „

wszystkie zdjęcia nagrodzone I nagrodą, oraz dwa—wyróżnione.

Jako nagrody jury Konkursu przyznało: p. Wiktorowi Meske — powieść myśliwską Józefa Weyssenhoffa „Puszcza“.



Kuna leśna, p. Meske (nagrodzone).

„Wilk“ — p. prez. Świętorzecki.
„Jeleń“ — p. Juljan Truszczyński.

Pozatem nadesłano jeszcze liczne ciekawe i piękne fotografje, które stopniowo reprodukować będziemy w dalszych numerach pisma.

W numerze bieżącym poświęconym naszemu łowieckiemu Patronowi, św. Hubertowi — dajemy

P. dr. F. Hłasko — „Listy z Afryki“ Henryka Sienkiewicza.
P. Ig. Jasińskiemu — „Listy z Afryki“ Henryka Sienkiewicza.
P. M. Świackiewiczowi — „Zew krwi“ Jacka Londona.
P. B. Gepnerowi — „Zew krwi“ Jacka Londona.



Składność śrótowej broni myśliwskiej.

Równoważną z dobrym strzałem broni myśliwskiej, tak kulowej jak i śrótowej i jej solidną konstrukcją, jest jej składność, gdyż broń nawet bardzo dobrze bijąca, a nieskładna, nie może dać zadawalających wyników na polowaniu.

Śmiało można twierdzić, że im lepsze broń śrótowa daje pokrycie, im większą ilość śrócin w mniejszym kręgu, tembardziej winna być składną.

Musimy zgodzić się na jedno, że najtrudniejsze są strzały na krótkie mety, np. strzelanie za-

jęcy, a w szczególności królików w gęstych zagajnikach, gdzie przeważnie strzela się na kilka lub kilkanaście kroków, a nabój śrótowy pokrywa zaledwie parę cm. średnicy. Wówczas przy strzałach rzutowych na małych blokach i dukcikach składność broni jest wszystkiem dla myśliwego, gdyż o celowaniu wogóle (zwłaszcza w powyższych warunkach) nie może być mowy.

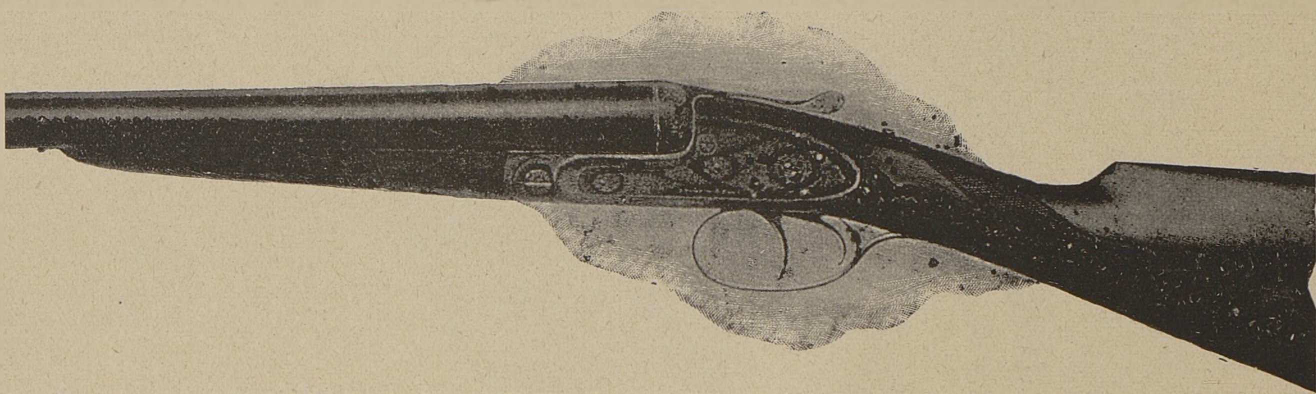
Niewielu myśliwych umie sobie radzić na polowaniu z niezupełnie składną bronią, mając broń z osadą za mało lub zanadto wygiętą.

W zasadzie, jeżeli mamy broń z osadą za mało wygiętą t. j. za prostą, należy lewą rękę trzymać blisko antaby cynglowej, lufy wtedy swoim ciężarem ciągną ku dołowi, co powoduje obniżenie się luf w chwili złożenia. Jeżeli zaś broń jest zanadto wygięta, t. j, dołuje, należy lewą rękę trzymać więcej wyprostowaną, t. j. dalej od antaby, podtrzymując lufy nie pozwalać na zbytnie obniżanie się ich, czyli na dołowanie.

Z praktyki jednakże wiem, że są to tylko rady teoretyczne, które można zastosować przy próbowaniu składności broni nienabitej w pokoju lub strzelnicy. Na polowaniu jednakże, zwłaszcza przy większej ilości zwierzyny, myśliwy nie jest w stanie pamiętać, że ma inaczej trzymać broń jak jest przyzwyczajony.

Dopasować przykład broni do figury myśliwego jest sprawą wysoce trudną, wymaga to wielkiego doświadczenia i fachowej znajomości rzeczy. Dla jednego myśliwego osada u broni winna być krótsza, dla innego dłuższa, więcej lub mniej wygięta, to jest powinna być tak dopasowaną, aby myśliwy upatrzywszy jakiś punkt mógł go z rzutu uchwycić na muszkę, w przeciwnym bowiem razie przy strzelaniu do zwierzyny myśliwy zawsze spóźni się ze strzałem, gdyż będzie zmuszony szukać muszki, która przy złożeniu się z przykładnej broni powinna znaleźć się sama na linji oka i punktu, do którego chcemy strzelić.

Technika puszkarska stoi już tak wysoko, że bronie śrótowe dają 80% i więcej śrócin na normalnych próbach, t. j. na dystans 36 mtr. w kręgu 75 cm. średnicy, przy doskonałym rozłożeniu śrócin.



Mając więc do dyspozycji taką broń z umiejętnie dobranym i dopasowanym przykładem, można mieć wspaniałe rezultaty.

Opowiadanie o zabiciu zająca, czy innej sztuki, śrótem na dystans 120 kroków (przeważnie nie mierzonych, a określonych na oko) zaliczyć można do myśliwskich dykteryjek. Gdybyśmy zabili zwierzynę, którą strzelamy w promieniu 50—60 kroków, to niewieleby jej pozostało na rok następny.

Czesław Lisowski.

W Tajdze Ołonieckiej.

(Wspomnienia przedwojenne).

Już prawie przygotowany byłem skwitować z misiów moich tegorocznych, gdyż nie mogłem żadną miarą wyruszyć z domu przed dniem 15 stycznia starego stylu... A gdym przyjechał do Petersburga po 15-ym, trafiłem na rzadki „pech“: — zastałem telegram od znanego pogromcy niedźwiedzi, z dalekiej północy, starego Martjanowa: „zwieri powstały z barłogów; ośm stopni ciepła...“ Ośm stopni ciepła w strefach prawie podbiegunowych, w czasie kiedy na południu Francji i w Neapolu mrozy i zawieje!.. Świat do góry nogami przewrócony, aura jakby zakażona jakimś „tangizmem“!

Mój niejednokrotny towarzysz wypraw myśliwskich, pan Aleksy R., który o dni dziesięć przedtem, zaraz po polowaniach Wierzchowieńskich, wyruszył do lasów Ołonieckich, gdzie mieliśmy się zjechać i razem polować — powrócił właśnie w tym czasie do stolicy, zniewolony roztopami iście wiosennemi...

Przywiózł ze sobą siedem niedźwiedzi, z których jeden, wagi szesnastu pudów — wspaniały czarny okaz samca. Zdobycz ta omal katastrofą się nie zakończyła — i li tylko swej zimnej krwi mój przyjaciel zawdzięcza pomyślny obrót tej całej imprezy...

Oprócz trofeów, dzielny kolega przywiózł: wór cały prawdziwie bajkowych opowiadań o drogach rozpławionych w śniegach, jak w syropie, o przeprawach przez jeziora z omal nie przełamującym się lodem, tragiczną relację o spotkaniu się z potworem na barłogu... i silną influenzę.

Załatwiwszy bieżące interesy w Petersburgu, wracam jak niepyszny do rodzinnej ukraińskiej siedziby, biorąc przyrzeczenie Martjanowa, że zawiadomi mię telegraficznie o ewentualnych, choć bardzo problematycznych, barłogach niedźwiedzich.

Powiedział stary weteran, oszczepnik, po miejscowemu „rohatczyk“, że w ciągu ośmdziesięciodwuletniego żywota — raz jeden tylko, przed czterdziestu laty, widział coś podobnego. Słabe więc nadzieje!

Na Ukrainie coraz cieplej — już pierwsze gęsi i skowronki zawitały! już prędko i o tokach wiosennych myśleć wypadnie! Wrodzona jednak „trzeźwość i rzeźwość“ praojców nie każe tracić fantazji. Kto wie?

Raptem depesza stamtąd: — „Spadły wielkie śniegi; szukamy!“

W parę dni potem: „Jest jeden na barłogu, drugi „chodowoj“ (przechodni, osaczony). Proszę przyjeżdżać“.

Błyskawiczny odjazd z domu — komfort „Luxus-zugu“ Kijów-Petersburg — dusza myśliwego wśród lampionów elektrycznych w pociągu marząca o zielono-białych mrokach lasów północy — jeden dzień spędzony w stolicy dla niezbędnych zakupów, zupełnie „incognito“, zdala od neurastenicznych, chorych warunków jej życia... Wieczorem dworzec kolei Północnej, stara zdezolowana lokomotywa z czasów imć pana Stefensona, zapach dymu drzew brzozowych — trema oczekiwań myśliwskich, rój przeczuć w duszy i sercu, błogie ukojenie całego jestestwa, statecznie powolny bieg pociągu, jak mara sunącego śród puchów ogromnych bieli śniegowych — i wreszcie wylądowanie na Zaborje, przy kilkustopniowym mrozie, o zorzy porannej...



Niedźwiedź ubity w gub. Wołogodzkiej przez Bol. Świętorzeckiego (wyróżniono na konkursie).

Rącze koniki, po parze w orczyk zaprzężone, oczekują na mnie i na mego służącego, dzielnego i wiernego Maksyma. A teraz — sto pięćdziesiąt wiorst drogi do osady „Szym-Oziero“, powiatu Lodejnopolskiego, w której rezyduje sławetny ród Martjanowych, rohatników i niedźwiedziarzy de re et nomine z dziada pradziada!

* * *

Wyśmienita „ucha“ z nalimów, spożyta w gronie rodziny Martjanowych z doskonałym apetytem, znanym tylko nam, braciom Nemrodowym, cisza i spokój z brewion złożonej siedziby, opowiadania

iście homeryczne o spotkaniach ze zwierzem i o polowaniach przeróżnych, szczególnie na niedźwiedzia...

Muszę zatrzymać się na opisie tych słynnych na dalekiej północy, rohatników. Należą oni do plemienia, zwanego Czud', inaczej „Czuchary", mają swój zupełnie odrębny język, całkowicie odmienny od rosyjskiego. Są to mieszańcy Finnów z Pomorzanami, którzy ongi, za czasów carów moskiewskich, szczególnie za Piotra Wielkiego, osiadłszy w Archangielsku, jako potomkowie dawnych Normandów — tych „ludiej torgowych", kłusowników i kondotjerów morskich, galerami swemi z Europą prawie jedyne stosunki handlowe utrzymywali.

Z nimi to, w mrokach historycznych dawnej Moscovji, prowadził handel Nowgoród, owa Rzeczpospolita, której wiecze, czyli parlament ówczesny, li tylko z ludzi „mądrych" i „bywałych" się składał. Car Kołokoł nieraz i praojców Martjanowa na posiedzenia owe zwoływać musiał!... Mój Boże! i pomyśleć, że antenaci tych dzielnych ludzi, co to dziś jedynie cieciorki i jarząbki sidełkami po lasach chwytają lub na barłogach niedźwiedzie biją — przed laty traktowali bezpośrednio z Radą Dziesięciu, z dożami królowej Adrjatyku, Wenecji, i nieraz konferować musieli wśród arcydzieł sztuki Palazzo ducale, pod cieniem kampanili św. Marka i Logetty Sansovina!

S i c t r a n s i t g l o r i a...

Lecz i potomków tych prastarych rodów los nie zupełnie skrzywdził! Żyjąc wśród rodzimej świerczyzny, w ciągłych wyprawach myśliwskich znajdują ukojenie potężne, do którego my dorywczo tylko i rzadko dotrzeć możemy. Wyrabiają więc w sobie tę tężyznę ciała, ten hart duszy, tę pogodę umysłu, prymitywną uczciwość i prostotę — której niemasz wśród ludzi z Matką Przyrodą nieobcujących!

Tajga bezgraniczna zaludniona jest dla nich nietylko zwierzem i ptactwem. Pełno w jej głębiach legend i bylin o „bohatyrach", djabłach i czarownicach, z któremi nieraz walczyć wypada, o rusałkach zielonookich w toniach przejrzystych jezior żyjących, które wabią powabem czarów piekielnych „dobrych mołodców" w zdradzieckie swe ramiona, na to tylko, żeby ciała ich grzeszne w kryształach wód zimnych utopić, w trzęsawiskach udusić, kroplę krwi ostatnią z nieziemską rozkoszą wyssać...

Raz do roku wychylają się dziarscy myśliwi Północy ze swych mroków leśnych—na świat Boży szeroki. Wiozą swą zdobycz tysiącami par zaduszonego ptactwa, tysiącami jarząbków, które później życiem sterane istoty, w szykownych restauracjach Petersburga, Paryża i Londynu spożywać będą ze znudzeniem;—wiozą stosy całe skór rozmaitych, któremi później, pełne newrozy i zdrady ciała syren współczesnych otulać się będą — sercu ciepła nigdy nie dając!

Pojawiają się wtedy rosłe, barczyste postacie o jasnych włosach i dziecinnych oczach, na targach dorocznych w Tychwinie, Czerepowcu, Kargopolu, i na ulicach gwarnego Petersburga, gdzie na tak zwanym Szczukinym Dworze i na Gostinnej ulicy—koncentrują się ryczałtowe tranzakcje „na dzicz i puszninę..." Zbywszy swój towar, pokręcą się trochę wśród zgiełku i gorączki miejskiej, i hajda! z rozkoszą napowrót do swych izb „brewienczatych", do dzieciaków o płowych główkach, do szerokich kominów, ogniem olbrzymich smolaków buchających, do bieli śniegów, do nieskomplikowanych ludzko-zwierzęcych stosunków, do swobody ciała i duszy, do tajgi rodzinnej!

Te dni pobytu wśród zgnilizny kultury wielkomiejskiej są zbyt krótkie, żeby ślady ujemne na nich pozostawiać miały, lecz za to dają im naukę pewnego taktu i poloru — pewną „bywałość", pewną umiejętność obcowania z ludźmi sfer najrozmaitszysh, której napróżno-byś szukał wśród innych dzieci Przyrody.

Tacy Martjanowowie, naprzykład, nieraz towarzyszyli w wyprawach łowieckich osobom sfer najwyższych, książętom krwi i monarchom, różnym duszącym się w splenie beznadziejnym bogaczom-neurastenikom, sportowo tresowanym Anglikom ruchliwym Amerykanom, ugrzecznionym poddanym Habsburgów i blagującym Francuzom...

Dziwić się tylko, doprawdy, należy, dla czego rząd rosyjski, biorąc przykład z kolonjalnych posiadłości innych państw, nie wprowadził żadnego opodatkowania od każdej sztuki zabitego, szlachetnego, a tak już dziś rzadkiego zwierza. Amatorów sportsmenów, ludzi zamożnych, chętnych do uiszczenia takiego podatku, zawsze się znajdzie liczba znaczna, a kto nie chce, lub nie może, to niech poluje na szaraki i skowronki, co nawet, stanowczo, zdrowiej i bezpieczniej.

Prawda, że dotąd jeszcze olbrzymie lasy guberni Wołogodzkiej, Ołonieckiej, Archangielskiej i Permskiej — to tajga, co na parę tysięcy wiorst, począwszy od powiatu Tychwińskiego, aż do tundry Samojedzkiej ramieniem swem potężnem biedną tę glebę otula; — prawda, że przy rzadkiem zaludnieniu, przy braku wszelkiej, w niektórych zakątkach, komunikacji — przez długie jeszcze lata byt misiów, rysiów krwiożerczych i magnatów rodu ptasiego, głuszców królewskich — jest zapewniony. Lecz wszystko się wyczerpuje na tym biednym świecie, wszystko maleje i niknie w końcu! Kraj się kiedyś pokryje siecią kolei, padną pod siekierą i piłą olbrzymy leśne, mchami i liszajami okryte.

Chciwość ludzka wyssie z tej ziemi co tylko będzie mogła, nic albo bardzo niewiele potomkom zostawiając.

Tymczasem, uregulowawszy prawa odstrzału, wprowadziwszy choć byle jaką ustawę łowiecką, obecnie zupełnie nieistniejącą, na co się sami „promyszlenniki" żyjący z łowiectwa uskarżają — na bardzo długo udałoby się zatrzymać te skarby dzisiejszej Natury.

Taka choćby rodzina Martjanowów, w dobre lata, po 20 — 30 tysięcy sztuk duszonego ptactwa: jarząbków, głuszców i cietrzewi, — dla zagranicznego eksportu, do Petersburga dostawia. Co poczną ci ludzie, przy urodzajach 5 — 15 pudów z dziesięciny marnego owsa lub żyta, gdy kiedyś zabraknie materjału do polowania?

Obecnie tylko ogrom obszaru jako tako ratuje ptaka i zwierza. Sami myśliwi mówią jednak, że coraz bardziej trzeba się dziś w puszczę od domu zagłębiać, ażeby z dobrym rezultatem „zwierowanja" powrócić. Niedawne to jeszcze czasy, gdy północ gub. Nowgorodzkiej roiła się literalnie od niedźwiedzi i grubego zwierza, a nawet dalsze okolice Petersburga dawały znaczną ilość pierwotnych łowów. Dzisiaj w pobliżu stolicy trzeba zapłacić 30 — 35 rubli za pud „ursusa" — i to najczęściej będącego w posiadaniu „okładczykow" typu chuligańskiego. Pod samem miastem, co prawda, co raz więcej jest terenów sportowo-kulturalnych, dzierżawionych przez kółka myśliwskie oraz przez osoby prywatne. Roi się tam od bażantów i zajęcy, lecz to zn wu co innego. Taką ucztę może sobie wyprawić pierwszy lepszy „sontagsjäger" i pod fortyfikacjami Paryża, pojęcia niemający o tej świętej „virginité de la Nature", dla której my, prawdziwi myśliwi, nie żałujemy środków i czasu, zdrowie i życie swoje narażając, byle choć kropelką, z jej przeczystych źródeł płynącą, pragnienia swe atawistyczne zaspokoić. I nie wspaniałych trofeów szukamy nawet często. Ileż to razy głuszec, z trudem niezmiernym na toku poleskim zdobyty, skromny „ciecieruk" w okiści śniegowej, z chytrością Irokeza, z drzewa na podjeździe „spuszczony", d a m e a u l o n g b e c, słonka tajemnicza, w purpurach zachodu od celnego strzału spadająca — ileż to razy podobny skromny fragment życia myśliwskiego dawał i daje prawdziwym synom Nemroda, dzieciom przestrzeni świetlanych, nie mniej radości od padłego z ręki magnata-miljardera tygrysa w dżunglach Indji, słonia na czarnym kontynencie, niedźwiedzia w ostępach bezbrzeżnych!... We wszystkich tych wypadkach, zachodzi różnica skali tylko — rdzeń zaś przyczyn: ukochanie Matki Przyrody, poczucie harmonji barw i dźwięków Natury, rozkosz upajania się cudną symfonją, tężyzna ducha i ciała — zawsze i wszędzie, i na wieki wieków, te same!

I póki istnieć będą źródła szczęścia tego, dopóty żyć warto. I ciężar szarzyzny dni naszych i ciernie zgryzot, zwątpień i rozczarowań, rany serca i duszy lekkiemi będą, i życie — nie straszne.

Adam hr. Rzewuski.

„Święty Hubert z lasu cały obiad daje".

(Wincenty Pol o dawnych zwyczajach łowieckich).

„Kiedy swego czasu
Goły las nastaje,
Święty Hubert z lasu
Cały obiad daje..."

Tak szczycą się ci, o których powiedziano jest pomiędzy rolnikami, że „zjedzą wołu, a ptaszka zabiją". Pytałem tedy starych myśliwych, co to za cały obiad daje święty Hubert z lasu? Na to rzekł mi pan łowczy:

— Dziś wydałem ja dyspozycję kuchmistrzowi i na jutro na obiad świętego Huberta prosimy, a jeżeli jedna rzecz będzie ze śpiżarni innej, jak ze śpiżarni świętego Huberta, to niech chybię do dzika, gdy na połeć idzie.

— Cóż będziem mieli? — spytałem dalej.

Pan łowczy poprawił ognia w kominku, pokiwał trochę głową, pokręcił raźno wąsów i tak mi powiada:

— Obiad będzie dobry, ale musimy począć od wódki; wszystkiego będzie na cześć świętego Huberta po troje. Więc naprzód trzy myśliwskie wódki: topolówka z pączków, dębówka także z pączków i jałowcówka — wszystko wódki trzyletnie, pięknie sklarowane i najbezpieczniejsze w tym czasie. Do tych trzech wódek są trzy przyprawy: dziengiel miałko tłuczony, pieprz tłuczony grube i świeże sadło borsucze, na odżywienie trzewiów, szczególniej dla starych myśliwych bardzo dobre. Kto go używa, jak lekarstwa, pije je z wódką jałowcówką, poczynając od świętego Huberta, aż do wigilji Bożego Narodzenia. Po wódce pójdą przekąski. Więc naprzód królewska wędlina — ozory

jelenie i języczki z kozłów do chrzanu; na drugą przekąskę marynowane koźlę dzikiej kozy; na trzecią serek utarty z głuszca przekładany białemi truflami. My będziem mieli jutro głuszca, który do królewskiej przekąski należy; ale, gdzie głuszca niema, można wziąć inną leśną kurę, jarząbka lub cietrzewia; a że brat nasz nie przebiera, więc „na bezrybiu i rak ryba“. Można utrzeć serek i z kuropatw, zawsze go jednakowoż wypada przełożyć białemi truflami. Po przekąskach będziemy mieli barszcz jeden i drugi; dobrze skromny zając pójdzie do barszczu. Grubsze kości sam potłukłem aby się coś i szpiku obrało.



Powrót z polowania na pardwy — dr. F. Hłasko i p. Zalewski, (nagrodzone na konkursie).

Zapytałem pana łowczego:

A czy i barszcz z lasu?

Nierad był, żem go pochwycił zaraz na wstępie, ale wyszedł obronną ręką.

— O! wielka sprawa! Tyle też baby chwały mają, że do uczty myśliwskiej dodają zawsze kwasu. Otóż po barszczu pójdzie na sztukę mięsa dzik przerosły dobrze i dany prosto z pieca na głogowym smaku, a głóg pono z lasu. Że na pierwsze przetrącenie mają być trzy dania, więc pójdzie przed sztuka mięsą głowizna z dzika i studzone nogi; potem pójdą trzy pasztety: pierwszy z kaczek dzikich w dyni, drugi z małych ptaszków w kapuścianych liściach pieczony, trzeci z kwiczołów w gniazdach z rzepy. Dalej pójdzie z kolei troje pieczystego: najprzód jelenia pieczeń z grzybami, potem cząber sarni że świeżemi rydzami, w końcu słomki, a do nich niby to garusik, niby marmulada z dzikich jagód i owoców. Na tem basta. A dodać tylko trzeba trzy naturalne trunki: maliniak, dereniak i stary miód leśnej pszczoły. Będą także na wety kandyzowane tarki, borówki w miodzie smażone, laskowe orzechy i kalmus smażony w cukrze. A kto nie dołoży, ten sam sobie winien. Dosyć na tem, że święty Hubert daje cały obiad z lasu. Jeżeliby się znalazł fryc na obiedzie świętego Huberta, podaje się mu z osobna przy pieczystem pieczeń z lisa lub wilka, a jak się tylko tknie półmiska, frycują go myśliwi, bo się otwierają drzwi od izby stołowej i myśliwi trąbią we wszystkie rogi. Na odgłos rogów zawyje cała psiarnia, którą z umysłu na to przed ganek posforowaną sprowadzają i jest krotochwila myśliwska, o którą w listopadzie niełatwo. W parę godzin po obiedzie zrobię ad laetificandum cor krupniku; przygotowałem okowity takiej, co proch spali. Otóż, jak okowita zapalona zawre w kociołku, dodamy w miarę lipcowej patoki, a roztworzymy żurawinowym sokiem. Kolor gdyby rubin i taki krupnik jest w listopadzie dla podeszłych ludzi zdrowy i pić się daje.

Wincenty Pol.

W puszczy afrykańskiej.

Abisynja 11-go marca 1911 r.

Wyruszyliśmy dnia tego jak zwykle o wschodzie słońca; teren myśliwski znów się poprawił, to też wkrótce ujrzeliśmy zdaleka antylopy. Dziś do pana D. należała prawa strona puszczy od naszej drogi, do mnie—lewa. Rozejrzałem się w poszukiwaniu cenniejszej zwierzyny i niezadługo ujrzałem przez polową lornetkę stado oryksów, pomiędzy któremi był jeden bardzo ładny okaz kudu. Natychmiast ruszyłem aby je podejść. Dawszy znak moim sagari (w języku miejscowym sagari znaczy strzelec), żeby pozostali w tyle, gdyż miejsce było dość otwarte, jąłem się skradać do stada, kryjąc się za małemi krzaczkami, posuwając się naprzód zgięty niemal we czworo i przylegając całem ciałem do samotnie stojących drzew. Kilkakrotnie już zbliżyłem się do oryksów na odległość strzału, ale kudu wciąż był albo zbyt daleko, albo zasłaniały go oryksy; zresztą stado co chwila zmieniało miejsce. czasami, jak mi się zdawało, w poszukiwaniu lepszej paszy, a czasem, jakby przeczuwając grożące mu niebezpieczeństwo. Ogarnięty tak dobrze znaną myśliwym gorączką łowiecką, wytrwale skradałem się jednak za niem.

W pewnej chwili oprzytomniałem i zrozumiawszy, że musiałem znacznie się oddalić od moich ludzi, postanowiłem zadowolnić się chociażby oryksem. Wybrałem więc odpowiednią sztukę — dużego samca o wspaniałych rogach i aby mieć wygodny strzał, chciałem zrobić parę kroków w bok—gdy nagle noga moja trafiła w jakąś jamę, prawdopodobnie legowisko hjeny, i... runąłem jak długi. Zanim się podniosłem, spłoszone stado było już daleko. Zły i zmieszany tem niepowodzeniem na początku dnia z rozpaczą patrzyłem na oddalające się stado, które też wkrótce zginęło mi z oczu. Ale nie było już na to rady, a przytem ranek dopiero się rozpoczął, miałem więc jeszcze nadzieję spotkania antylop, a może i grubszej zwierzyny. Należało tylko zaczekać na nadejście moich sagari. Oparłem się więc o mój sztucer i rozejrzałem



Wieńce jelenia kopalnego — p. Gepner, (nagr. na konkursie).

wokoło. Niedaleko wiło się łożysko rzeczne po obu stronach porośnięte palmami i krzewami. Przypomniałem sobie, że dziś rano z naszego obozu widać było na widnokręgu tę rzekę, rysującą się wyraźnie na tle rzadkiej w tem miejscu szarej puszczy, wijącą się jasno zieloną wstęgą wysokich palm. Krajobraz jednak był tu istotnie prześliczny. Ożywione bliskością wody grupy palm pięły się w górę jak olbrzymie giętkie trzciny, rozwiewające na tle błękitu zielone pióropusze liści. Gdyby nie lekki, jak mi się narazie zdawało, nieuzasadniony niepokój, napawałbym się dłużej tym widokiem; tymczasem zwróciłem się wstecz, w kierunku tym skąd przyszedłem i krzyknąłem kilkakrotnie. Cisza... Krzyknąłem znowu rzucając w przestrzeń imiona mych sagari — Ali! Musu! — i nadsłuchiwałem długo. Żaden dźwięk jednak nie zabrzmiał w odpowiedzi. Puszcza była cicha, tajemnicza. Skierowałem wówczas w niebo lufę mego sztucera i strzeliłem raz i drugi. Ale przebrzmiały echa strzałów, a żaden głos ludzki nie odezwał się w odpowiedzi. Byłem jednak pewien, że Musu i Ali usłyszeli, jeśli już nie wołanie, to moje strzały i że wkrótce nadejdą; obowiązkiem ich bowiem było znajdować się zawsze w pobliżu i przybiegać na pierwsze zawołanie. Postanowiłem więc zaczekać na nich przy rzece i ruszyłem w tę stronę. Woda rozrzucona w jej łożysku szeregiem niby sadzawek, była czysta i względnie świeża. Wygrzewający się na piasku krokodyl rzucił się do wody tak szybko, że nie zdążyłem doń strzelić.

Usiadłem sobie teraz w cieniu palm i uzbroiłem się w cierpliwość oczekiwania. Mój pierwotny niepokój opadł tak głęboko w duszę, że nie odczuwałem go już wcale. Ten cudowny ranek w podzwrotnikowej puszczy i te samotne oczekiwanie przy wodzie, gdzie w każdej chwili można było spodziewać się pojawienia się którejś z większej i rzadszej zwierzyny Afryki, miały swój ogromny urok. Zresztą co chwila spodziewałem się ujrzeć wychylające się z pośród krzewów postacie czarnych mych strzelców i usłyszeć ich zdyszane biegiem głosy. Wyobraziłem sobie z całą jasnością Musu i Alego, dążących w kierunku strzałów; widziałem już ich nieraz, jak odszukiwali zatarty trop, przypadając do ziemi zwierzęcym niemal ruchem, by dokładniej obejrzeć zmiętą trawę lub cień śladu pozostawiony na twardym gruncie. Minęło jednak pół godziny, godzina w próżnem oczekiwaniu; spojrzałem na zegarek, było już po dziesiątej. Niepokój odezwał się znowu natarczywy i przykry. Jednakże nie chciałem się jeszcze poddawać złym przeczuciom. Rozsądek mówił, że strzelcy muszą mnie przecie szukać, a szukając napewno znajdą. Chcąc im jeszcze raz ułatwić zadanie. wstałem, poszedłem trochę w kierunku skąd powinni byli przybyć i dwukrotnie strzeliłem w górę. Ale i tym razem także próżno wytężałem słuch: puszcza stała cicha w sennym bezwładzie upalnego dnia. Tu, na otwartem miejscu, słońce przypiekało już tak silnie, że nawet przez korkowy hełm, czułem ostre szpilki wpijające mi się w czaszkę.

Wróciłem więc znów ku rzece, bowiem miałem tam cień i wodę, postanawiając czekać choćiażby do wieczora. O tem, aby samemu odszukiwać obóz myślałem przez chwilę, ale wnet odrzuciłem ten pomysł jako zupełnie nie wykonalny. Była jedna szansa na sto, że odnajdę naszą karawanę, a dziewięćdziesiąt dziewięć szans na to, że ostatecznie zabłądzę w puszczy i zginę z wyczerpania, jeśli przedtem nie zamordują mnie krajowcy lub w nocy nie rozszarpie lew. Tymczasem więc, żeby ułatwić poszukiwania, poszedłem w dół rzeki, idąc rozmyślnie po piasku i zostawiając w ten sposób bardzo wyraźne ślady. Przewędrowałem tak mniej więcej kilometr, poczem zawróciłem i zrobiłem znów około dwóch kilometrów w przeciwnym kierunku. W miękkim mule u brzegu sadzawek rzucały mi się w oczy krągłe, do talerzy podobne, odciski nóg słoni i hipopotamów, to znów ślady nosorożców, bawołów i różnych antylop. Raz nawet spostrzegłem nieco zatarty ślad lwa, a dalej lamparta. Refleksje, które mi ten widok nasunął, nie należały do zbyt przyjemnych, nie mówiąc już o perspektywie spędzenia nocy w takich warunkach. Bo co innego jest przesiedzieć na czatach od zmroku do świtu, wiedząc że opodal są życzliwi ludzie, a przy sobie zapasowa broń i ładunki; a zupełnie co innego, trwać w mroku nocnym zmęczony, głodny i w dosłownem tego słowa znaczeniu—zupełnie sam.

Zmęczony przymusowym spacerem usiadłem sobie pod jedną z palm dla odpoczynku. Miejsce było bardzo dogodne, palma bowiem stała w pewnem oddaleniu od innych drzew i krzewów, to też żaden zwierz czy człowiek nie mógł na mnie napaść znienacka. Po za mną brzeg rzeki unosił się w górę łagodnem zboczem; przedemną, o trzydzieści mniej więcej kroków, leżała spora sadzawka; dalej pięło się urwisko skalne uwieńczone kępą splątanych roślin. Siedziałem bez ruchu i bez myśli prawie; upał i głód osłabiły mnie już trochę. Szczególnie ten ostatni dawał mi się we znaki, od wschodu słońca bowiem, (jadłem wówczas bardzo mało), nie miałem nic w ustach. Według słońca sądząc musiała już być dwunasta (na zegarek nie chciało mi się patrzeć) gdy usłyszałem szmer. Pochodził z rozrzuconych na lewo

krzewów. Pierwsza moja myśl była, że to Ali i Musu, ale natychmiast odrzuciłem to przypuszczenie. Strzelcy moi, o ile nie chodziło im o podejście lub wytropienie zwierzyny, zachowywali się zazwyczaj bardzo hałaśliwie, grała tu być może rolę ukryta chęć spłoszenia niebezpiecznego zwierza, o ile by się taki w pobliżu znajdował, szelest zaś idący z krzaków był tak cichy, że tylko wprawne myśliwskie ucho mogło go rozróżnić. Nie ruszając się z miejsca, przygotowałem sztucer do strzału i czekałem co dalej będzie.

Gałęzie jednego z krzaków rozsunęły się i wyjrzała z nich szara mordeczka; cofnęła się, wyjrzała znowu, i po chwili na odkrytą przestrzeń wkroczyła poważnie niewielka małpa. Za tą przednią strażą, czy też dowódcą, sypnęło się wnet całe stado. Oprócz dorosłych małp było sporo młodzieży, różniącej się zarówno wzrostem, jak i bardzo niesfornem zachowaniem. Całe towarzystwo dążyło widać do wody, kierowało się bowiem ku sadzawce i było już blizkie celu, gdy raptem któreś ze zwierzątek spostrzegło mnie. Stado zakotłowało się i myślałem narazie, że uciekną. Ale nie, zostały! Przemogła widać ciekawość. Zapewne na stan rzeczy wpłynął także mój całkowity spokój. Dość, że dziwaczna gromadka rozsiadła się na piasku półkolem, w odległości około trzydziestu kroków odemnie, i jęła mi się przyglądać. Wykrzywiały się przytem, odymając policzki, mlaszcząc wargami, drapiąc się za uchem, i co chwila udzielając sobie wzajemnie nowych spostrzeżeń wymowną grą oczu.

Zaraz po pierwszym alarmie małe małpiątka schroniły się na grzbiety matek; siedziały tam na razie bez ruchu, i tylko coś w rodzaju garbu oraz dwoje błyszczących ślepków, wydawały ich obecność. Teraz jednak ośmielone ciszą podniosły łebki; któreś ciekawsze, a mniej od innych trwożliwe, zeskoczyło na ziemię i usiadło przed samym nosem matki. Kilkoro innych poszło za tym przykładem. Rezultat podobnej niesubordynacji dał się natychmiast odczuć; stare małpy jak na komendę sięgnęły łapami, schwytały swe pociechy i zarzuciły je sobie znów na karki. Czas jakiś trwała cisza. Ale nagle jeden z dzieciaków uniósł łebek, błysnął ślepkami, i hyc! siedział znowu przed nosem swej rodzicielki. Tym razem został srogo ukarany; małpa z całą powagą schwytała małpiątko za futro na grzbiecie, i wlepiła mu parę energicznych klapsów w tą część ciała, która i u nas w dziecinnych latach odpowiada zazwyczaj za wszelkie psoty i przewinienia.

Widok był tak zabawny, że mimowoli roześmiałem się głośno. Śmiech mój podziałał jak wystrzał na ciekawe grono. Zdawało się, że to wiatr zamiata kłębki burej wełny, tak szybko zerwało się i znikło w krzakach całe stado.

Śmiałem się jeszcze chwilę, ale spoważniałem wkrótce. Przykra sytuacja w jakiej się znajdowałem zarysowała się znów przedemną z całą wyrazistością. Jednakże los nie dał mi się długo zasklepiać w niemiłych myślach, bowiem nagle, ponad jedną z dalszych sadzawek poruszyło się coś niby końce czarnych wideł. Zerwałem się natychmiast na równe nogi i unikając wszelkiego szmeru jąłem się skradać. Teren nierówny i pełen nizkich krzewów znakomicie ułatwiał mi podchodzenie. W pewnej chwili przez wyrwę w zielonym gąszczu ujrzałem wspaniałego oryksa. Stał pijąc wodę najwyżej o czterdzieści kroków odemnie. Naraz drgnął, podniósł w górę ciężki łeb i jął wciągać powietrze w rozdęte chrapy.

Czując, iż lada chwila rzuci się do ucieczki, zmierzyłem prędko i strzeliłem w komorę. Oryks, jak spięty ostrogą koń stanął dęba, poczem zachwiał się i runął na ziemię. Podbiegłem do niego, ale żył jeszcze, i choć nie mógł się podnieść, zamiatał wkrąg piasek swemi strasznemi rogami, podobnemi do dwóch hebanowych pik.

Pewny, iż za moment skona, a nie chcąc patrzeć na jego agonję, zawróciłem, a wlazłszy na stromy w tem miejscu brzeg, rozejrzałem się po okolicy. Nic nie zwiastowało nadejścia sagarich; puszcza stała cicha, a słońce dobiegające szczytu nieba paliło żywym ogniem.

Krzyknąłem raz i drugi ile siły w płucach. Cisza. Wówczas strzeliłem dwukrotnie i nadsłuchiwałem długo... Znowu cisza!.. Nie, szelest! I to dość wyraźny, ale rzecz dziwna, po za mną. Odwróciłem się, spojrzałem i pełen zdumienia znieruchomiałem na chwilę. Mój oryks, konający jak mi się zdawało, stał już na nogach, a w następnem mgnieniu oka ruszał kłusem przed siebie. Rzuciłem się za nim strzelając w biegu. Po drugim strzale padł, ale żył jeszcze i musiałem zużyć jeszcze jeden nabój, by go ostatecznie dobić.

Był to okaz tak piękny, że postanowiłem zachować rogi wraz ze łbem i natychmiast przystąpiłem do wstępnych zabiegów. Nosiłem zawsze u pasa dość duży nóż myśliwski i bardzo ostry; nożem tym przeciąłem skórę wkoło szyi oryksa jaknajbliżej piersi i grzbietu, poczem zawinąłem ją ku górze i tuż pod czaszką oddzieliłem łeb od tułowia. Była to praca bardzo ciężka nawet w warunkach normalnych; wykonywując ją o głodzie i przy piekielnym upale omdlewałem niemal z wycieńczenia. Nie chcąc jednak porzucić mej cennej zdobyczy, dźwignąłem ją na plecy i, zlany potem, dysząc ciężko, doniosłem łeb oryksa wraz z rogami i skórą z szyi do brzegu rzecznego łożyska, skąd silnie

pchnięty potoczył się na sam dół i zatrzymał się niedaleko mej palmy. Zeszedłem ku sadzawce, by zmyć pot z twarzy i napić się wody, poczem usiadłem pod moją palmą. Słońce przebiegło już połowę dziennej drogi i teraz wyraźnie płynęło ku zachodowi. Każda chwila przybliżała mrok nocny i zwiększała męczący mnie głód. Mogłem oczywiście upiec kawał oryksa, ale że byłem przedewszystkiem nadzwyczaj zmęczony i wyczerpany, odłożyłem to na wieczór, o ile by do tego czasu nie nadeszli moi czarni strzelcy. Jednakże myśl o ogniu przypomniała mi, że mam w kieszeni zapałki. Oczywiście że w dzień ogień nie jest zbyt daleko widoczny, ale dym przy tak cichem powietrzu pójdzie w górę potężnym słupem, a zapach spalenizny rozsnuje się daleko po puszczy. Zresztą co mi szkodziło spróbować. Wybrałem więc stojące samotnie cztery palmy, zniosłem do ich stóp trochę uschłych liści palmowych i rzuciłem zapałkę. Ogień buchnął tak szybko, że zaledwie zdążyłem w bok uskoczyć. W mgnieniu oka palmy od podstaw aż do liści stanęły objęte płomieniem. Powietrze, nasycone żarem, jęło drgać i falować, jak woda. Ogień lizał piasek i darł go niby tysiącem krwawo złotych, chciwych pazurów. Bił w błękit nieba osnuty welonem dymów. Potem jął zamierać tak nagle jak powstał, wsiąkając w powietrze i ziemię, aż się zamienił w kupę żarzących węgli, w popiół, w gorący piasek tylko.

I znów siedziałem czas dłuższy nadsłuchując chciwie. W pewnej chwili miałem zamiar jeszcze raz wystrzelić w powietrze, ale gdym sięgnął do ładownicy, znalazłem w niej tylko jeden nabój. Jeden, a dwa w lufie to razem trzy. Najlepszy matematyk nie wymyśliłby nic innego. Świadomość pogorszenia jeszcze i tak już ciężkiej sytuacji niby obuchem palnęła mię w łeb. Trzy naboje — trzy strzały! A w perspektywie noc pośród dziewiczej puszczy pełnej zwierza dzikiego a strasznego. Wesoło! Śmierć niemal pewna. Wkoło, jak oko sięgnie, tylko nizkie krzewy, karłowate drzewa i gładkie pnie palm na które wdrapać się jest niesłychanie trudno, a o przesiedzeniu na których całej długiej nocy nie może być mowy. Ani śladu kolczastych roślin zdatnych na wał ochronny. Pozostaje jedynie ogień. Ale lew, o ile jest głodny, nie zawsze się ognia boi, a nosorożec rzuca się nieraz w sam środek największego nawet obozowiska.

Na przeciwległe urwisko rzeczne cicho wybiegły dwie antylopy: samica z młodem. Patrzyłem na nie, jak na ładny obrazek. Postały chwilkę węsząc trwożliwie, poczem zawróciły i zginęły za krzakami. Ale gdy nieco później w tem samem miejscu ukazał się wspaniały samiec Kudu, machinalnie niemal podniosłem broń do oka i strzeliłem w otwartą pierś. Rogacz padł i pozostał bez ruchu, a ja nie próbowałem nawet wstać i dojść do niego, by go zblizka obejrzeć. Trzeba by było wdrapać się na strome urwisko lub je obejść, a to już było prawie po nad moje siły. Upał i głód wprowadziły mnie w stan ogromnej apatji. Świadomość, że teraz mam już tylko dwa naboje, przesunęła się po mnie jak słaby powiew wiatru, nie wywierając żadnego wrażenia... Nagle jednak drgnąłem. Niepojęte roztargnienie mych strzelców i, będąca tego konsekwencją dzisiejsza przygoda, zarysowały się w innym zupełnie świetle. Zrozumiałem, że nie przypadek to był, lecz zła wola czarnych; zemsta bardzo prosta, a jednak omal że niezawodna.

Przed paru dniami dosiadając rankiem muła, zauważyłem na jego białej szerści przyschnięte błoto. Spokojnie zwróciłem się do Musu, pytając, czemu muł dziś nie oczyszczony. Odpowiedział hardo. Na to podniosłem głos, a on, zamiast uniewinnić się i zmilknąć, przeszedł niemal do krzyku. Ponieważ murzyni póty szanują białych, póki się ich boją, więc w tym wypadku nie mogłem puścić płazem tak wyzywającego zachowania się Musu i w odpowiedzi na jego impertynencki krzyk, palnąłem go pięścią między oczy, poczem spokojnie wyciągnąłem rewolwer. Strzelec zatoczył się od uderzenia, ale wkrótce oprzytomniał, zebrał się w sobie jak do skoku i wyrwał z za pasa nóż. Ciemna jego twarz zszarzała; z gardła rwał się chrapliwy szept. Ali, stojący obok, kolega i kuzyn jego, bełkotał coś również, zaciskając pięście i jak podrażniony zwierz szczerząc zęby. Trzymałem ich jednak na wodzy chłodnym i spokojnym wzrokiem, oraz rewolwerem, o którym wiedzieli, iż w moim ręku nigdy nie chybia. Ale powoli wściekłość ich opadła i przeprosili mnie nawet. Jednak zemstę chowali widocznie w sercach i dziś, znalazłszy dogodną okazję, wprowadzili ją w czyn.

Oparłem łokcie na kolanach, a na dłoniach złożyłem ociężałą głowę. Zdrzemnąłem się zdaje się trochę. Widziałem nasz obóz! dwa namioty w wieńcu ognisk; pana D., jak siedząc na składanem krześle, pije herbatę; kręcących się tu i tam żołnierzy abisyńskich i samalijczyków; wielbłądy zbite w jedną gromadę, flegmatycznie żujące paszę, a nieco na uboczu mego białego muła. Ali chciał go złapać, ale ten, czarny charakter, złośliwy i uparty, wyrwał mu się z rąk, a odbiegłszy kilkadziesiąt kroków, zarżał przeciągle. Krzyk ten mnie zbudził i rzecz dziwna, nawet wówczas, gdym już przetarł oczy, brzmiał mi w uszach wyraźny, chociaż jakby bardziej daleki. Siedziałem więc czas jakiś, nie mogąc zrozumieć, czy to był sen, czy rzeczywiście słyszałem krzyk mego muła. Wtem usłyszałem dalekie nawoływania moich sagari. Zerwałem się i za-

cząłem krzyczeć; odpowiedział mi niedaleki okrzyk. Ogarnęła mnie niesłychana radość. Bo przecież był najwyższy czas. Dochodziła szósta i słońce leciało ku zachodowi jak gnany wiatrem złoty balon. Za godzinę najdalej noc roztoczy nad puszczą swój czarny, oparem krwi przesycony łachman. Czas! Czas! Zarzuciłem na plecy swą zdobycz: łeb oryksa, i pokrzykując od czasu do czasu dla zachowania kierunku, ruszyłem ku nadchodzącej pomocy.

Nie przeszedłem i tysiąca kroków gdy zobaczyłem swych sagarich. Biegli kłusem niemal, Ali prowadził opierającego się muła, Musu miał mój pas z rewolwerem. Ujrzawszy mnie, objawili hałaśliwie swą radość. Jeden przez drugiego wypytywali o me zdrowie, o przygody, których doznałem, i wzywali na świadków niebo i ziemię, że szukali mnie wytrwale i pracowicie cały dzień niemal.

Udałem, że im wierzę, nie pora bowiem była na śledztwo i wymiar kary. Zmrok już wisiał w powietrzu, i należało śpieszyć, tembardziej, iż jak się okazało, karawana nasza obozuje bardzo daleko stąd, o kilkanaście kilometrów zapewne.

Musu podał mi torbę z żywnością przysłaną przez pana D. Nie jadłem od dwunastu godzin, to też apetyt służył mi wybornie. Posiliwszy się naprędce dosiadłem muła i ruszyliśmy w drogę. Zabrałem tylko łeb oryksa, kudu bowiem leżał zbyt daleko, i nie było czasu się nim zająć.

Noc zapadła błyskawicznie szybko, jak zwykle w podzwrotnikowych krajach, i to wówczas, gdyśmy się znajdowali na pół drogi od obozu. Niebo było jasne i pełne gwiazd, ale w dole, śród drzew i krzewów, panował mrok tem głębszy. Z gąszczu płynęły dziwne szmery, szelesty, czasem trzask gałęzi, czasem stłumiony ryk. Muł węszył, oglądając się trwożnie i to przysiadał na zadzie, nie chcąc kroku postąpić, to rwał się naprzód, tak, żem go ledwo mógł w cuglach utrzymać. Ali i Musu szli obok mnie po obu stronach, rzucając czasem twożny okrzyk i ściskając kurczowo w dłoniach ostre noże. Dotąd pojąć nie mogę, jak nie zmylili drogi, śród tego chaosu torowanych przez dzikiego zwierza ścieżek. Nie zatrzymywali się nawet i nie wahali przy wyborze kierunku. Czasem tylko jeden lub drugi przyklękał szybko i macał dłonią ziemię. Nie wiem, czy ze stopnia świeżości trawy wyciągali wniosek o tem, jak daleko odeszliśmy od rzeki, czy też wysubtelnionym dotykiem odnajdywali własne, przed paru godzinami zostawione ślady. Szliśmy tak już około dwuch godzin, gdy Musu błysnął ku mnie oczyma świecącemi w mroku jak oczy kota, i rzucił radośnie:



Po polowaniu na wilki. — P. Świackiewicz, (nagrodzone na konkursie).

„Czuć dym panie! Obóz blizko!“

Ja coprawda nie czułem jeszcze nic, ale węch tego dzikusa bezwzględnie zasługiwał na wiarę. Zresztą Ali potwierdził natychmiast nie dopuszczającym cienia wątpliwości głosem.

„Musu dobrze mówi! Czuć dym!“

Przeszło jeszcze pięć minut i ujrzałem puszczane przez pana D. rakiety. Muł przyśpieszył kroku. Czarni popędzali go, pokrzykując radośnie.

Chwila, i przed memi zachwyconemi oczyma roztoczył się nasz obóz, leżący na rozległej polanie, pełen gwaru, ruchu i światła.

Pan D. po serdecznem przywitaniu, opowiedział mi o zachowaniu się strzelców, potwierdzając tem moje co do nich podejrzenia. Czarni zjawili się przed południem, zaraz po rozbiciu namiotów, oznajmiając ze strapionemi minami, że zostawiłem ich samych podchodząc antylopy a później nie mogli mnie odnaleźć. Szukali jednak pilnie i dali nawet parę strzałów z mego nagana. Wszystko spełzło na niczem! Są bardzo, bardzo strapieni.

Rzecz jasna, że pan D. nie dał żadnej wiary ich słowom. Ze srogą miną oznajmił stanowczo, że o ile natychmiast nie zostanę odszukany, Ali i Musu w kajdanach powędrują do najbliższego miasta, gdzie odda się ich do dyspozycji władz pod ciężkim zarzutem zamordowania białego człowieka. Świeżo wystrzelone z rewolweru naboje znakomicie poprą to oskarżenie. Co do wymiaru kary, nie może być żadnych wątpliwości: śmierć przez powieszenie jest więcej niż pewną.

Ali i Musu nie byli wcale głupi. Zrozumieli, że lepiej nie przeciągać struny, i zabrawszy mego muła, nagan i koszyk z jedzeniem, ruszyli na poszukiwanie. Szukali dość długo, być może aby usunąć podejrzenie, że wiedzieli gdzie się znajduję i szli wprost do określonego celu. Ponieważ ostatecznie wszystko się dobrze skończyło, i żadnej rozmyślnej winy nie można im było dowieść, nie ponieśli żadnej kary. Tylko wzajemny nasz stosunek trochę się zaostrzył, i od dnia tego zwracałem na ich postępowanie baczniejszą uwagę.

Bronisław Gordziałkowski.



Ptaki morza polskiego.

(Dokończenie).

Wysokość, jakiej dosięgają ptaki w czasie lotu nie da się dokładnie określić, bowiem badania pod tym względem bardzo są utrudnione. Jest ona jednak z pewnością o wiele większa niż by się dało pomyśleć. W budowie organizmu ptaka tkwi jakaś osobliwość, która zezwala mu nietylko żyć, ale ruszać się i pracować skrzydłami w tych warstwach powietrza, gdzie człowiek z powodu rozrzedzenia tlenu nie może tchu złapać. Jak wskazują niżej wymienione badania niektóre ptaki dobrowolnie dosięgają zawrotnej wysokości 12000 i więcej metrów.

Ptaki drapieżne, zwłaszcza kondory i sępy, a także kruki, krążąc spiralnie, wzbijają się ku górze w celu szukania żeru na ziemi za pomocą opatrzonych w teleskopiczne soczewki oczu. Inne zaś ptaki dosięgają tych nieprawdopodobnych wysokości przeważnie tylko na przelotach, a celem tego jest zapewne fakt, że powietrze rozrzedzone na znacznej wysokości o wiele mniejszy stawia przy locie opór i ułatwia przez to przebywanie ogromnych przestrzeni.

Już Humbold, opisując lot kondora, twierdził, że będąc sam na wysokości 4.000 m. widział kondora, pławiącego się w górze i przedstawiającego z siebie ledwie dostrzegalny punkcik. Ten sam Humbold twierdzi, że mógł dostrzedz gołem okiem towarzysza swego Bonpland w białym płaszczu, idącego na tle skały w odległości 24 km., oczywiście przy czystem górskiem powietrzu. Jeżeli więc przypuścić, że rozpięte skrzydła ptaka śred-

nicy prawie 3 metrów były dopiero o $1/3$ bliżej widzialne na tle błękitu, niż człowiek na tle skały, co w żadnym razie nie może być rachunkiem przesadzonym, to powinniśmy przypuścić, że ptak znajdował się o 16.000 metrów nad obserwatorem, czyli 20.000 m. nad poziomem morza.

O wiele wyżej jeszcze wzbijał się sęp płowy o rozpiętości około 2.5 metrów, którego obserwował uczony angielski Dresser, i który, pnąc się ku górze, znikł wreszcie zupełnie w polu widzenia dobrej lornety.

Dane te przemawiają wyraźnie za tem, że przeloty odbywają się na ogromnej wysokości, a dowodzą tego przypuszczenia również bezpośrednie obserwacje Gätkego na Helgolandzie.

Widział on nadlatujące w czasie przelotu ptaki, a między innemi sokoły kobuzy, które ukazywały się nagle jak drobny pyłek u zenitu i opuszczały się w dół, by spocząć na wyspie. Wysokość, którą określić można jako przybliżoną, dla ukazania się gołemu oku, jako punkcik, ptaka wielkości wrony, dosięgać może zależnie od czystości powietrza 4.600 m., albowiem po linji poziomej nad ziemią w stadzie wron, lecącem o 3.100 m., dobre oko rozróżnić jeszcze zawsze może pojedyńcze ptaki, przejrzystość zaś powietrza ku zenitowi w stosunku do kierunku poziomego można w każdym razie określić jak 3 do 2.

Niektóre ptaki podług obserwacji Gätkego opuszczają się ku ziemi w sposób bardzo ciekawy. Spadają mianowicie ze złożonemi skrzydłami, jak kamień, wydając od pędu powietrza przeciągły świst. Specjalność tę wykazują zwłaszcza dzikie gołębie i słomki; te ostatnie rozpoczynają spadanie jeszcze poza dostępem wzroku ludzkiego, gdyż Gätke nieraz był zaskoczony tym szczególnym świstem, a w chwilę dopiero później widzieć mógł zjawiający się u zenitu punkt, rosnący gwałtownie w oczach i przybierający kształt ptaka. Spadanie takie trwa u słomki aż do wysokości kilku metrów nad ziemią, poczem ptak leci jeszcze chwilkę nisko i siada bez ruchu, tak że zdawałoby się, że siedzi tam oddawna.

Odlot ptaków też wskazuje na wielką wysokość przelotów. Ptaki wzbijają się przeważnie odrazu tak wysoko, że małe gatunki giną z oczu, a obserwowane być mogą jedynie uchem, gdyż zwykle czas jakiś wydają jeszcze porozumiewawcze głosy. Gätke obserwował stadka różnych ptaków śpiewających, zbierające się do odlotu zaraz po zachodzie słońca. Stadko takie, rozproszone na żerowisku, zrywał do lotu jeden przewodnik, wydający wołanie, poczem wszystkie szybowały w górę, wydając głosy, aż do chwili, gdy zgromadziły się razem i znikły w ciemnym błękicie nadciągającej nocy.

Widywane w przelocie kuligi, kuliki, siewki i t. p. lecą przeważnie na samej granicy dobrego wzroku, a prawdopodobnie widzialne są tylko warstwy niższe, wyższe zaś, dające znać o sobie specjalnym głosem gwiżdżącym, sięgają do granic nieznanych. Widywane wewnątrz kraju na przelotach żórawie lecą również na ogromnej wysokości, czego dowodem służyć może fakt, że nieraz dźwięczne ich głosy słyszymy wyraźnie, ale najlepsze oko dojrzeć nie może na tle przeczystego jesiennego błękitu sylwetek ptaków tak imponujących rozmiarów.

Są jednak gatunki, które lecą zwykle znacznie niżej, a temi są podług Gätkego wrony, szpaki i skowronki. Wron nie widywał znakomity uczony lecących wyżej niż 400 m., tej też granicy sięgają w jasną pogodę skowronki i szpaki.

Ciekawem nad wyraz zagadnieniem jest sposób orjentowania się ptaków w czasie przelotów, zwłaszcza nocnych. Ogromną tu bez wątpienia rolę odgrywa instynkt, należy jednak przypuścić konieczność istnienia jakichś punktów oparcia, pewnych linji wytycznych. Niektóre doświadczenia wskazują, że tą linją wytyczną mogą być gwiazdy. Wiadomem jest wogóle, że ptaki, tak jak i owady, mają skłonność do lecenia na ogień. Latarnie morskie, jako stałe źródła światła, a przytem leżące na najliczniejszych drogach przelotów ptasich, nieraz przyciągają ptactwo, które bywa w ogromnych ilościach łapane na sidła. Otóż najlepsze połowy odbywają się w noce chmurne i mgliste, czyli wówczas, gdy drogowskaz niebieski zakryty jest przed okiem wędrowców, którzy lecą też wówczas niżej, bliżej ziemi. W jasne zaś noce gwiaździste przy latarni nie ujrzymy ani jednego ptaka z wyjątkiem może nielicznych, zmęczonych lub chorych maruderów. W noce pochmurne wkoło latarni zbierają się nieraz ogromne rzesze ptasie, zbite z kierunku, i słychać wciąż różnorodne głosy, krążących wkoło gęstych mas. Ale niech tylko jedna gwiazda ukaże się pomiędzy chmurami, albo za dalekim horyzontem zabłyśnie odblask wstającego księżyca, gdy chmary znikają, opuszczają zwodne światło ziemskie i lecą precz w dalszą drogę, a napełnione gwarem i szumem skrzydeł powietrze wkoło latarni uspakaja się i zalega cisza, mącona tylko jednostajnym szumem fal wybrzeża.

Ogromne pole badań, jakie przedstawia część ornitologji — geografja ptaków, a zwłaszcza przeloty, może być w pełni wyzyskane dopiero wówczas, gdy kraj nasz cały pokryje się siecią związanych ze sobą punktów obserwacyjnych, z których najważniejsze będą nadmorskie i położone na przełęczach Karpackich oraz przy południowych rzekach.

Obserwacje pojedyńczych przyrodników mogą niekiedy wzbogacić materjał krajowej avifauny o nowy jakiś gatunek, lub dodać kilka szczegółów z biologji danego ptaka, na to jednak, aby utworzyć pełny obraz zoogeografji krajowej ptaków potrzebaby pomocy choć części zainteresowanego społeczeństwa.

Badania przelotów są rzeczą trudną i mogą być właściwie pożytecznie uskuteczniane tylko przez specjalistów i ludzi odróżniających biegle poszczególne gatunki, natomiast sprawa rozprzestrzenienia lęgów, przy których ptaka można obserwować dłużej i często z bliska, jest dostępna dla wszystkich miłośników przyrody, a zwłaszcza dla braci myśliwskiej, ciągle mającej do czynienia z dziką naturą.

Włodzimierz Korsak.



Międzynarodowe Towarzystwo utrzymania żubra.

Pod powyższą nazwą założone zostało w Berlinie w dniu 26 sierpnia z. r. staraniem dyrektora ogrodu zoologicznego we Frankfurcie n. M. Dr. K. Priemel Towarzystwo w celu uratowania żubra, niegdyś naszego, od zupełnej zagłady. Niemożliwe jest w ramach pisma łowieckiego dać szczegółowy referat z drugiego już sprawozdania tegoż towarzystwa, które nam łaskawie nadesłane zostało. W streszczeniu tylko niech mi będzie wolno wypowiedzieć, iż w tym pierwszym posiedzeniu inauguracyjnym brało udział 40 miłośników przyrody, rekrutujących się z pośród dyrektorów zool. ogrodów, muzeów, artystów i literatów Niemiec, Austrji, Szwecji i Holandji.

Na zebraniu tym wybrano: jako prezydenta honor. causa F. E. Blaauw z Holandji, jako wiceprez. h. c. tajnego radcę prof. Dr. L. Heck dyr. Zool. ogrodu w Berlinie, jako zarząd wykonawczy: Dr. Kurt Priemel Frankfurt n. M. prezydentem Dyr. Alarik Behm Sztockholm, B. Zimmermanna z Drezna sekretarzem bankiera Ad. Metler z Frankfurtu skarbnikiem.

Wybrano nadto jako referentów i do stałych komisji 31 członków St. Zjednoczonych, Czechosłowacji, Włoch, Szwecji, Holandji, Danji, Łotwy, Szwajcarji, Rumunji, Austrji i Niemiec.

Na pierwszym tym posiedzeniu skonstatowano, iż ogólna liczba żubrów europejskich znajdujących się w zwierzyńcach, jak to swego czasu w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskim" donosiłem, wynosi 56 sztuk, w tem 27 męskiego, a 29 żeńskiego rodzaju, pomiędzy tymi 10 cieląt rodzaju męskiego i żeńskiego w równej połowie. Okazuje się tutaj, iż informacje moje były dokładne. Nadto stwierdzono, iż najliczniejsze stado, 9 sztuk znajduje się w zoolog. ogrodzie w Sztokholmie, gdzie zrozumienie potrzeby utrzymania tego niezwykłego okazu zoolog. jest wśród ludności ogólne i gdzie dzięki zainteresowaniu się rządu z państwowych terenów wyznaczono odpowiednią przestrzeń specjalnie dla chowu żubra. Długie sprawozdanie „M. Tow. w celu utrzymania żubra" z grudnia 1923 r. donosi już, iż staraniem dyr. Alarika Behm z Sztokholmu „Narodowy park dla żubrów" utworzony został.

W drugim rzędzie najliczniejszym stadem żubrów cieszy się hr. Arnim Boitzenburg, bo posiada ich 7 sztuk; również urządził on dla nich specjalny zwierzyniec.

Żubry te od r. 1921 kolejno nabył z Stellingen (od Hagenbecka) i ogrodów zoolog. Berlina i Frankfurtu n. M. dwie sztuki urodziły się w zwierzyńcu. Hr. Arnim Boitzenburg daje szczegółowe sprawozdanie z doświadczeń swoich dokonanych w 3-letniej praktyce, z których wynika, iż utrzymanie ich jest łatwe, na zmianę powietrza są od-

porne, a w wyżywieniu, które odpowiada mniej więcej wymaganiom jeleni, mało wybredne. Przybycie dwóch młodych od sprowadzonej jałowicy, w przeciągu dwóch lat, daje także dowód oczywisty, iż rozmnażanie żubrów w niewoli zwierzyńca pozostaje normalnem. Ze sprawozdania dalej widzimy, iż wszyscy uczestnicy zjazdu uchwalili jednomyślnie, że nie zaleca się koncentrowania wszystkich przy życiu będących żubrów w jednej centrali t. j. w jednym zwierzyńcu. Dla możliwości wybuchu zarazy, rozłożenie ich na różne kraje i klimaty jest na razie, dopóki ich liczba się nie powiększy, najodpowiedniejszym środkiem uratowania ostatnich olbrzymów polskiej fauny.

W końcu jeszcze zarząd „M. Tow. do utrzymania żubra", którego adres jest „Internationale Gesellschaft zur Erhaltung des Wisents" Dr. Kurt Priemel Frankfurt a M. Zoologisches Garten, uprasza całą prasę o popieranie zadań towarzystwa, przez rozprzestrzenienie jego usiłowań, komunikowanie referatów i sprawozdań i nadesłanie wszelkich artykułów i notatek dotyczących tej sprawy, które się w prasie ukażą w dwóch egzemplarzach, jeden pod wyżej podanym adresem, a drugi pod adresem K. Güldenstein, Berlin 0.34 Gubenerstr 21.

Jak ze sprawozdania tego widzimy Polska, w sprawie własnej domowej, która przedewszystkiem ją zajmować powinna, przy założeniu towarzystwa udziału żadnego nie wzięła, w spisie narodów należących do komisji jest pominięta, a w prasie jej więcej ujemnych, jak dodatnich znajdziemy śladów popierania celów Towarzystwa. „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" i „Tygodnik Ilustrowany", w licznych artykułach sprawę żubrów i ich utrzymania popierały i jako aktualną na łamach pism swoich bezustannie podnosiły. Za nimi w ślady poszły praktyczne urzeczywistnienia.

Ogród Zoologiczny w Poznaniu dzięki p. Dyrektorowi Sylwestrowi Urbańskiemu, zanim się rząd polski reflektujący również na żubry dla puszczy Białowieskiej zdecydować zdołał, zakupuje w maju r. b. parę żubrów od p. Beyme z Meklemburgji. Para ta od tego czasu pomnożyła się o jedną sztukę. Rzadkiej piękności okazy te, które stosunkowo za bardzo niską cenę, bo za 12.500 zł. nabyliśmy, starał się Rząd od nas nabyć, uzyskał wszakże odpowiedź odmowną. Zarząd Ogrodu Zoolog. postanowił bowiem urządzić na wzór sztokholmskiego i boizenburskiego, nowy obszerny zwierzyniec na Sołaczu pod Poznaniem. Rząd tymczasem czyni starania nabycia nowej partji żubrów z zagranicy, co obecnie po założeniu wymienionego wyżej towarzystwa i ogólnego zainteresowania się żubrami jest b. trudne, a wobec wielkiej konkurencji dla ociężale pracującej machiny państwowej prawie że nie możliwe.

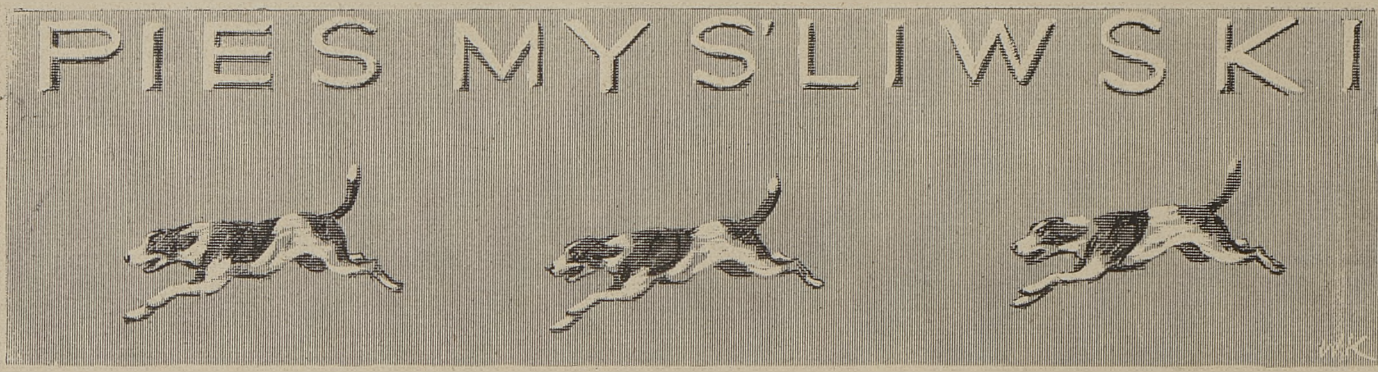
To też na tem miejscu zwracamy się jeszcze raz do kompetentnego urzędu państwowego, a przedewszystkiem do dyrektora spraw łowieckich przy Ministerstwie Rolnictwa p. Włodzimierza Korsaka, aby myśli umieszczenia żubrów w zwierzyńcu białowieskim ze względu na niepewne stosunki panujące na wschodzie, na razie poniechać a natomiast poprzeć przez odpowiednią subwencję usiłowania nasze zmierzające do skoncentrowania jak największej ilości żubrów w celu ich rozmnożenia w Poznaniu. Do Białowieży odda je zarząd Ogrodu Zoologicznego bez sprzeciwu, gdy liczba ich do kilkunastu się rozmnoży i gdy stosunki bezpieczeństwa w puszczy się poprawią.

Niechaj to co wyżej napisałem, a więc wyliczenie wszystkich starań osób prywatnych w celu uratowania białowieskiego żubra, w tym tylko jednego Polaka, posłużą za odpowiedź tym pismom, które wobec projektu tego nieprzychylne zajęły stanowisko, specjalnie zaś autorowi, „Solidarności myśliwych polskich". (Łowiec Nr. 6), który w polemice przeciwko niżej podpisanemu następujące wygłosił zdania:

„Pożyteczność rady użycia funtów szt. (wydanych na wyprawę Etiopską) na zaprowadzenie żubrów do Białowieży, okazuje się zatem co najmniej nader wątpliwą. Założenie zaś parku hodowli rzadkiej, swojskiej zwierzyny na podobieństwo sławnego dziś już zupełnie zniszczonego Pilawina jest u nas w Polsce dla osoby prywatnej wprost niemożliwe".

Rezerwując sobie na innym miejscu i przy innej sposobności danie odpowiedzi autorowi i redakcji „Łowca" wyżej wzmiankowanego artykułu na inne wywody polemiczne, tutaj zaznaczam tylko, iż są, dzięki św. Hubertowi, jeszcze miłośnicy przyrody (niestety więcej ich na obczyźnie niż w Polsce), którzy chcą funduszami swojemi ratować resztki wspaniałej fauny ojczystej.

Władysław Janta-Połczyński
Członek Zarządu Ogrodu Zoologicznego
w Poznaniu.



Pies myśliwski.

Wrażenia z konkursu wyżłów dowodnych, odbytego dn. 23 i 24 września 1924 w Lipnicach i Krojantach na Pomorzu.

Zachodnio-pomorski klub myśliwski w Chojnicach, powołany niedawno do życia, urządził zaraz w pierwszym roku istnienia konkurs wyżłów dowodnych celem zainteresowania członków swych ideą wyżła dowodnego oraz informowania ich sposobem poglądowym o zadaniach wszechstronnych wyżłów i o metodzie egzaminowania i sprawności kandydatów.

Członkowie klubu chojnickiego, pp. Główczewski i Pruszak, oraz p. Chrzanowski oddali łaskawie klubowi łowiska swe na czas trwania konkursu do dyspozycji.

Stawiły się do egzaminu we wszystkich działach:

1) Lord, wyżeł po angielskich dziadach, własność p. Szreibera z Chojnic,

2) Bessy-Ruhrthal, krótkowłosista suczka po szorstkowłosistych rodzicach: Rolfie-Wermigsen i Hexe-Göllingen, własność p. Franciszka Gramowskiego, obecnie zamieszkującego w Wymysłowie, powiecie strzelińskim;

3) Tref, krótkowłosisty wyżeł krajowy, własność p. Główczewskiego z Lipinic,

4) Diana-Ruhrthal, krótkowłosista, jasno-podżara suczka po szorstkowłosistych rodzicach: Lumpie-Warthethal i Bessy — Poznań, własność leśniczego państwowego p. Przybyły z Kurzabieli w powiecie strzelińskim.

Nie stawiły się: Niksa-Lanken, zapisana w księdze rodowod. polskich wyżłów dowodnych pod numerem ósmym, własność p. Wilke'a z Płaczek w powiecie średzkim, oraz Rolf, szorstko-włosisty wyżeł p. Zellobera z Poznania.

Pozatem zgłoszono celem oceny ich zdolności. dwa młode wyżły w pierwszem polu, i to: Trefa i Hankę, oba po Helstorze-Krojanty i Niksie-Lanken.

ad 1) Lord robił wrażenie wyżła, dającego się układać do wszechstronnej pracy z trudnością tylko; nie ulega dla mnie wątpliwości, że u Lorda, jako produktu błędnej hodowli, nadmiar krwi angielskiej wpływa niekorzystnie na sprawność wszechstronną i duże trudności sprawia treserowi w działach leśnych, gdzie chodzi o umiejętność psa posługiwania się wietrznikiem przy ziemi i sumiennego wypracowania sfarbowanego tropu lub sztucznej włóczki. To też temperament uniósł kandydata w pracy za farbą, gdy przed nosem pomknął mu królik poprzez sztuczny trop. Zamiast dalej pracować za farbą, kandydat wolał wesołą zainscenizować pogoń za chyżym mieszkańcem nor; nie doszedł w ten sposób oczywiście do mety, aby, wróciwszy do pana, podprowadzić go do ubitego kozła. Mener, p. Raszke z Powałek, korzystał wprawdzie skwapliwie z nowego zadania, jakie wyrozumiali sędziowie przyznali kandydatowi; zadanie to było tym razem o wiele łatwiejsze, lecz Lord częściowo tylko pracował na tropie, poczem na „własną rękę“ począł szukać, nie trzymając się tropu, i z wielką biedą, więcej przypadkiem, aniżeli umiejętnością doszedł wreszcie do mety, wrócił bez humoru do menera, i znowu manowcami podprowadził go do kozła. Praca bardzo słaba, ledwie dostateczna.

Wcale dobrze kandydat spisał się w aportowaniu włóczonego drapieżnika, zawiódł jednak zupełnie w aportowaniu zgubionego królika. Że mener nie miał wyżła silnie pod mocą i sam nie dowierzał kandydatowi, wynika z egzaminu w zachowaniu się na stanowisku; bo zamiast kazać wyżłowi warować przy nodze swobodnie, mener założył długi otok, przytwierdzony do obroży wyżła, także sobie przez ramię. Zdaje się, że tym manewrem nie poprawił, lecz pogorszył cenzurę Lorda w zachowaniu się na stanowisku. W innych działach pracy leśnej kandydat zadowolił sędziów. Ciężką walkę staczał z kotem, i choć go nareszcie po dłu-

gim czasie zdusił, to jednak sprawności kandydata żadną miarą nie można nazwać samodzielnem dławieniem, a klasyfikowano ją jako bardzo dobre osadzanie tylko.

Praca wodna Lorda byłaby dobrą, gdyby nie był okazał bajecznej ciętości na niewłaściwem miejscu, dusząc i mamląc kaczkę.

W działach pracy polnej, będącej domeną wyżłów angielskich lub wyżłów z przeważającą krwią angielską, spodziewano się po kandydacie o wiele więcej, aniżeli w istocie pokazał. Ani sposob szukania, który tylko z początku był dobry, ani wyprowadzanie kur, ani apel, ani wytrzymanie ani cienia ujemnych skutków podróży, czy też nowego, niezwykłego otoczenia.

Mam wrażenie, że albo w ostatnim czasie przed konkursem przeciążono i przemęczono ją tresurą, albo też że wogóle nieprzygotowana stanęła do egzaminu. W każdym razie aportowanie zguby i ciętość jej były niedostateczne, nie dała też nakłonić się do aportowania zabitej kaczki z głębokiej wody, choć za zdrowemi kaczkami bobrowała dobrze nawet głośno; pozatem bardzo słaba była jej praca za farbą, a w działach polnych pracowała nierówno.

3) O tem, że Tref p. Głowczewskiego z Li-



Psiarnia myśliwska p. Jasińskiego w Strzelnie (nagrodzone).

na strzał nie były na takim poziomie, jakiego się po wyżle o bardzo znacznej przymieszce krwi angielskiej spodziewać było można. Najlepiej jeszcze wypadło aportowanie zgubionej kuropatwy, które nie pozostawiało nic do życzenia.

Koniec końcem ogólne wrażenie, jakie umiejętność kandydata wywarła na sędziach, nie było tego rodzaju, iżby można było udzielić mu chociażby trzeciej tylko nagrody.

ad 2) Bessy wykazała, mimo że już w trzeciem jest polu, w najważniejszych działach tyle niedomagań, że dziwiłem się, że p. F. Gramowski ją do Konkursu zgłosił. Kilkakrotnie budziła się we mnie myśl, że kandydatka jest chora, a przynajmniej w wysokim stopniu niedysponowana. Były jednakże znowu momenty nierzadkie, że robiła wrażenie zupełnie zdrowej wyżlicy, nie zdradzającej

pinic był najlepszym wyżłem konkursu, który innych kandydatów ogromnie zdystanował, nie może być dwóch zdań.

Nie można powiedzieć, aby Tref był pięknym psem; ciężka głowa o zbyt krótkiej kufie, a grubych policzkach, i stroma struktura partji tylnej poważne stanowią błędy i muszą razić. Ale Tref umie coś. Kandydat wykazał we wszystkich poważniejszych, decydujących działach dobrą i bardzo dobrą sprawność, z wyjątkiem ciętości. Doskonale spisał się w pracy za farbą, zadowolił najzupełniej w aportowaniu zguby, czy wtedy, gdy chodziło o użyteczną zwierzynę włochatą lub pierzastą, dalej w wyparowaniu, w warowaniu na strzał i w zachowaniu się na otoku. We wszystkich tych działach odebrał same dobre i bardzo dobre cenzury; jedynie na stanowisku pozwolił unieść się pasji i poszedł za królikiem.

Praca jego w wodzie również była bez zarzutu; w polu zaś pobił stanowczo innych konkurentów. W tym dziale oceniono jego sposób szukania i wytrzymanie na strzał wprawdzie tylko cenzurą „dość dobrze“, lecz we wszelkich innych fachach tegoż działu spisał się „dobrze“, w aportowaniu zgubionej kuropatwy „bardzo dobrze“.

I byłby niechybnie otrzymał oficjalną nagrodę, gdyby jego ciętość była lepszą. Lisa gonił wprawdzie i osadzał kilkakrotnie, lecz widać było, że po za tem wszystkiem nie było dostatecznej energji i stanowczości — dwukrotnie nawet kandydat opuścił osadzonego drapieżnika i wracał najniepotrzebniej w świecie do nogi. Szkoda! Wielka szkoda! Ale, co się w zwycięstwie zwlekło, jeszcze nie uciekło. Spodziewam się ujrzeć Trefa na przyszłym konkursie wykazującego tę samą sprawność jakiej byliśmy świadkami w Chojnicach, a bez zbytecznej uczuciowości wobec niebezpiecznych rabusiów.

4. Diana popsuła sobie poważne szanse na oficjalną nagrodę tem, że nie szukała kuropatw w polu, ustawicznie trzymając się stopy menera. Pan Przybyła nie mogąc dla chorej nogi trenować jej w polu, oddał ją kilka dni przed konkursem młodemu myśliwemu, który obrzydził jej niewłaściwem traktowaniem ochotę do szukania. Pozatem Diana zdobyła w polu prawie same dobre noty, w wodzie bardzo dobre, i w pracy leśnej również dobre i bardzo dobre cenzury, z wyjątkiem wyparowania, które było słabe, i aportowania zgubionego drapieżnika, do którego bardzo dobrze po szlaku doszła, ale którego nie przyniosła.

Kota dość dobrze osadziła. Jestem mocno przekonany, że Diana wyrobi się na dzielną wyżlicę dowodną, pod warunkiem oczywiście, że jej się nie odda w ręce niewłaściwe w toku dalszej nauki. Należy podkreślić, że leśniczy państwowy, p. Przybyła, okazał się bardzo dobrym treserem, i że jego spokojny sposób prowadzenia uczennicy na konkursie robił bardzo dodatnie wrażenie.

Dzieci Niksy, Tref i Hanka, wykazały cenne zdolności i zalety, szczególnie w pracy za farbą, w aportowaniu zguby i w pracy wodnej, zdolności, które uprawniają do najlepszych nadziei, że oba wyżły będą poważnymi kandydatami na przyszłym konkursie.

Stwierdzam w końcu, że łowiska odpowiadały wymaganiom konkursowym, pogoda dopisała i dwa dni przeznaczone na egzamin pozwalały sędziom bez przeciążenia menerów i wyżłów dokładnie zbadać umiejętność zgłoszonych kandydatów. Żałować tylko należy, że sędziowie żadnemu kandydatowi nie mogli oficjalnej przyznać nagrody.

Klub myśliwski zachodnio-pomorski urządził na zakończenie konkursu wspólny obiad, podczas którego wręczono menerom cenne pamiątki.

Uważam sobie za bardzo miły obowiązek, wyrazić i na tem miejscu przewodniczącemu klubu p. dr. Łukowiczowi, najserdeczniejsze podziękowanie za doznaną w jego domu gościnę.

Meles Taxus.

Pani polująca.

(Wstęp który przeczytać należy).

Siedząc w salonie i czekając na nadobną jego właścicielkę, spostrzegłem na stole pomiędzy drobiazgami, któremi kobieta otaczać się zwykła by nadać cechę swoim właściwościom i upodobaniom, ozdobną miniaturową książeczkę. Sądziłem, że to „Cicha łza chrześcijańska“, tymczasem był to — Makuszyński. Boże miłościwy! na co się ci księgarze nie zdobędą! Książeczkę taką gotów jeszcze jaki nabożniś wziąć do kościoła, symulować przykładną modlitwę, — a ten zbereźnik studjuje tymczasem „Żywot pani poczciwej“. Miałem pierwszy raz — z rumieńcem to wyznaję, książeczkę Makuszyńskiego w ręku, -- słyszałem tylko, że napisał kiedyś coś o Zakopanem, ale nie wiedziałem czy żyje, czy też „w grobie zasłużonych“ szukać go należy. Dowiedziawszy się, że żyje, przepraszam za tak wczesne posądzenie, a żeby go zaś zupełnie przebłagać, niechaj mi wolno będzie „Panią polującą“, która właściwie jest tylko uzupełnieniem „pani piszącej, pijącej i grającej w karty“ minstrelowi zakopiańskiemu poświęcić.

Prawidłowa myśliwa.

Nie chcę się zapuszczać w mitologiczne czasy i średniowieczną polującą kobietę pominę, wspomnę tylko, iż polowanie z kobietą w literaturze naszej spotkać można kilkakrotnie. Zbyszko polował z Danusią na tura, Edward z Renutą na głuszca, obie pary narzeczone, a Władek używał Warszulkę za aportera. Ocenić tych przyjemności

nie mogę, bo ani z własną ani z cudzą narzeczoną nigdy nie polowałem, do przynoszenia słonek zawsze używałem wyżła. Nawet oglądanie kolanka „na szczęście“ w znany myśliwski sposób nie było w moim zwyczaju, co zresztą wobec mody krótkich spódnic stało się dziś bezskutecznym. Przypuszczam wszakże, iż to wszystko może być bardzo piękne, a przedewszystkiem przyjemne, ale przechodzi moją kompetencję, zaczem już p. Makuszyńskiemu rzecz tę do drugiego tomiku „Żywota pani poczciwej“ pozostawić należy.

Pisząc ściśle fachowo przedewszystkiem zająć się muszę t. zw. „prawidłową myśliwą“. Od takiej prawidłowej, a właściwie namiętnej myśliwej zaproszenie otrzymałem pewnej jesieni na rykowisko... Proszę bez domyślników, bo to rzecz serjo... Klasyczno-poetyczny osobnik wystawi sobie taką sportsmenkę z włócznią w ręku, w złotych sandałkach, w greckiej tunice (oczywiście bez koszuli) i z półksiężycem na głowie. Tymczasem moja Nemrodka nosiła w rzeczywistości baranią czapkę, lodenową włosiatą jopę, długie buty juchtowe, a gdy nie trzymała w ręku „Manlichera“, to z pewnością przyzwoity charapik. Piękną ani młodą nie była, ale mały ciemny wąsik świadczył o innych zaletach.

Po przybyciu na wstępie poddać musiałem moją obież myśliwską gruntownej inspekcji, do której na szczęście tylko akcesorja strzelające należały. Aprobaty nie doznała wszakże trojlufowa tesznerka z lunetą Zeissa 4 razy powiększająca jako rzeczy przestarzałe: należało mieć jeżeli już nie „Manlichera“, to przynajmniej Mausera z Gerardem, model 23 z ośmiokrotnym powiększeniem. Zdaje się, iż niedostatecznemu wyekwipowaniu zawdzięczałem brak zaufania w moją tężyznę łowiecką, a w następstwie całe ówczesne niepowodzenie.

Polowaliśmy przez 3 dni, a właściwie trzy noce na zasiadce w lesie, każdy rozumie się w innej jego części. Dziki ryły w zasadzonych na przynętę kartoflach, jelenie ryczały i księżyc świecił, wszystko programowo. Moja gosposia zabiła też w pierwszą dwucentnarowego odyńca, a w trzecią kapitalnego czternastaka. Mnie w czasie tym księżyc oświecił dwa kicające króliki i trzy latające nietoperze. Pani polująca oczywiście temu nie była winna, winne były dziki i jelenie, które lepiej wiedziały, gdzie miały wychodzić.

Na zimowych polowaniach u niej nie bywałem, słyszałem jednak od naocznych świadków, iż przy nagance stawała zawsze na przesmyku, gdzie najwięcej padło, a w kociołkach zasiadała na środku pola obsypując z browninga gęsto przebiegające szaraki. Przypuszczam, iż tu była też tylko uprzejmość zwierza dla polującej pani.

Później—jeszcze raz,—widocznie na pocieszenie, zaproszony zostałem w czerwcu na czerwonego kozła. Miałem nawet ten zaszczyt, iż mnie osobiście na podchodnym prowadziła. Położenie tam było idealne: naturalny park przeszywała rzeczułka, a żyzne pola przeplatane bujnymi łąkami, wśród liściastego, krzewem i malinami podszytego lasu, stworzyły bajeczny rewir myśliwski. Szła przodem, jak liszka, która bystrem okiem wyzierając pierwszy raz na łów prowadzi młode. Niedługo też stanęliśmy przed dobrym kozłem szóstakiem.

— Baczność! tam stoi — szepnęła, — ale zanim zdołałem spostrzedz, zanim strzelbę przyłożyć do twarzy, już kozioł dzwonił cewkami pogrzebowego.

— Proszę wybaczyć — rzekła, nie byłam pewna, czy pan go trafi, a szkoda byłoby takiego szóstaka.

Na tem mój dobiut myśliwski u „prawidłowej“ Dyjany raz na zawsze się zakończył. Mimo to nie zerwaliśmy miłych ideowych stosunków. Na żądanie przywoziłem mojego „Bohuna“ do jej „Nory“ w intencjach matrymonjalnych, przyczem regulowała sprawy posagowe (jeden szczeniak od pomiotu) rzeczowo, a szczegóły weselne zawsze fachowo i poprawnie.

Oto typowy obraz „zawołanej myśliwej“. Szczęściem, że takich kobiet, powiedzmy to cicho pomiędzy nami, jest bardzo mało — inaczej musielibyśmy zawołać: gwałtu co się dzieje, ubrać się w spódnicę i piastować własne pociechy, notabene o ilebyśmy je mieli.

Polująca z nudów i ciekawości.

Więcej już rozpowszechniony jest drugi rodzaj kobiet polujących z nudów i z ciekawości Ciekawość w ogólności, jak wiadomo, prowadzi do wiedzy, a nudzenie się powoduje kurcz szczęki, który objawia się ziewaniem, lecz tylko u mężczyzn. Kobieta, gdy się nudzi nie ziewa, bo to szpeci, ale za to powoduje różne nieszczęścia: czyta romans, zaniedbuje dziecko, zdradza męża, a z ciekawości wybiera się na pierwszą schadzkę. Te dwie przyczyny wypędziły podobno Ewę z raju, zaprowadziły spory procent kobiet do czyśćca, a nawet do piekła. Szukanie uciech myśliwskich jest hygienicznem a czasami niewinnem lekarstwem przeciw kobiecym nudom i ciekawości, — więc zalecać by je w interesie moralności należało.

Tak przynajmniej myślałem, gdy pewnego razu młoda wdówka napierała się pójść ze mną na wieczorne stanowisko. Wybierałem się na lisy, które się wylęgły w zbożu i niepokoiły rodzaj kurzy całej okolicy.

— Umiem strzelać — mówiła, — strzelałam z flobertu i na 15 kroków trafiłam w sam środek (prawdopodobnie tarczy) już nawet wronę zabiłam, daj mi pan strzelbę, a zobaczysz jak się spiszę. Lis przecież większy od wrony.

Na ten argument nie było co odpowiedzieć, więc poszliśmy.

W pobliżu jamy lisiej znajdowała się dość obszerna łąka, w środku jej kilkumorgowa remiza, przeważnie ze świerków złożona, w której ukryci strzelcy z łatwością całą łąkę obserwować mogli. Na łące tej lisy, — jak to już poprzednio zauważyłem, odbywały swoje pierwsze wieczorne wywiady.

Moją nadobną Nemrodkę usadowiłem na składanem stołeczku ukrytą w remizie po jednej stronie, — sam zaś wziąłem pod obserwację i wyloty mojej dwururki drugą połowę łąki. Siedzieliśmy tak w skupieniu około pół godziny, słońce zaszło i ostatnimi blaskami zorzy opromieniło złocistą ramę zbóż kwiecistej łąki, gdy z gąszczu żytniego wysunęła się naprzód jedna a potem druga szelmowska fizjognomja mikity. Z najwyższem napięciem nerwów czekałem na całkowite ukazanie się byndytów kurzego rodu, którzy tymczasem ślepiami i wietrznikiem poddawali okolicę ścisłej rewizji i badali strategicznie teren.

— Będzie piękny dublet — pomyślałem.

„Lecz czem są nasze myśli i pragnienia,
gdy nie spełniają bogów życzenia,
a życzenia bogów, niestety,
są często życzeniem kobiety...“

W remizie za mojemi plecami zaszeleściało coś podejrzliwie, — lisy zniknęły a przedemną ukazała się pogromczyni wrony.

— Tak było cicho — mówiła głosem małego rozpieszczonego dziecka, — ja się tak bałam sama, przyszłam zobaczyć, czy pan tu jeszcze jest...

Proszę mi pokazać takiego filistra, któryby się nie rozczulił nad taką wdowieńską prostotą.

W innym wypadku była to mężatka.

— Zabierz mnie pan z sobą, — mówiła do mnie, słysząc, iż wybieram się na kozła, słudziutkim głosikiem spozierając milutkim oczkiem, to musi być bardzo zajmujące... Mąż mój nigdy mnie ze sobą zabrać nie chce, nawet (niegodziwiec!) z kuzynkiem Wackiem iść mi nie pozwoli.

— A ze mną pozwoli?

— Eh! z panem — i machnęła ręką. To machnięcie mnie oburzyło. — Co ona właściwie sobie myśli... Więc już na przekorę zaczynam z wątpliwościami:

— A umie pani cicho siedzieć?

— U fryzjerki siedzę godzinę, a u manikury drugą i palcem nie ruszę.

Więc na to już trochę złośliwiej:

— A językiem też nie?

— Na długo?

— Dobrą godzinę trwa taka wieczorna zasiadka na kozła.

— To wprawdzie bardzo długo, ale się zrobi, gdy koniecznie być musi.

— Jeżeli tak, to niema co mówić. Usadowię panią w pobliżu i chociaż to sprzeciwia się etykiecie, za mojemi plecami.

— Nie można przy sobie?

— Nie można.

— Czemu nie można?

— Bo tak trzeba. Ale mimo to będzie pani słyszała śpiewające słowiki, miłośnie gruchające gołąbki i jeśli pójdzie pomyślnie to i wychodzącą na łąkę zwierzynę. Oczywiście .pod warunkiem, iż oprócz powieki, nie poruszy się nic innego. Aby to umożliwić, — dodałem jeszcze spostrzegłszy dość głęboką dekoltację, – biuścik goły nie jest przy polowaniu potrzebny, gdyż kozła nie przynęca a natomiast nie tylko żeńskie ale i męskie komary reagują na taki wdzięk kobiecy zupełnie w niewłaściwy sposób.

Interwencja moja zyskała szczęśliwie posłuch w formie fulardzika, który wszakże dość skąpo wypełniał swoje zadanie.

W drodze znów powstaje nowa ciekawość jak to się na sarny poluje. A więc tłómaczę fachowo różne sposoby: na zasiadkę, na podchodnym, na wabia, podczas rui....

— A cóż to ruja? pyta ciekawie.

— Ruja, to czas weselny, miodowy miesiąc sarniego rodu.

— Czy to dzisiaj będzie ruja?

— Dzisiaj nie, — ruja będzie za miesiąc.

— A czemu dopiero za miesiąc?

— Bo tak się sarny umówiły, – zawsze tylko w sierpniu.

— Jakie one niemądre...

Tak uczoną dysputę prowadząc przybyliśmy na miejsce działania. Ciekawą towarzyszkę usadowiłem w miejscu możliwie dla siebie i wyniku polowania najmniej szkodliwym, — około 10 kroków w gąszczu zagajenia, gdy sam dla obserwacji brzeg jego zająłem.

Wszystko odbyło się składnie i w przykładnej ciszy. Programowo też kukała zuzula, purkała turkawka i słowik śpiewał, a my siedzieliśmy grzecznie i w skupieniu wyczekując wypadków które miały nastąpić. Trwało to czas dłuższy.

W tem coś zaszeleściło, a jednocześnie obok mnie upadła szyszka. Sądziłem, że to może wiewiórka, — ale nademną na drzewie nic nie było. Za chwilę druga szyszka trafiła mnie już w głowę,

a wesoły śmiech pouczył jednocześnie jaka to była psotna wiewiórka.

— Ach! jakie to nieciekawe — zawołała powstając z krzesełka, siedzieć tak długo i tak samotnie...

Kiedy nic nie mówiąc i nieokazując niezadowolenia zbierałem przybory myśliwskie, szepnęła:

— Wie pan... wolę tu przyjść innym razem... może za miesiąc, dziś pan taki nudny...

Polująca dla towarzystwa.

Piękną dekoracją dla obławy myśliwskiej, tak jak ów major na niemieckim weselu, jest kobieta polująca dla towarzystwa. Trzeba sobie wystawić, jaki to sztafaż dla krajobrazu, wśród zimowej kniei, przy rozkładzie 50 kotów, w ugrupowanym gronie myśliwych stanowią: żółte wysokie buciki, serdaczek zakopiański, kapelusz zielony z lirą cietrzewia—przedstawicielki płci pięknej. Rozumie się, iż wśród tych śliczności tkwić musi sama pani, a im piękniejsza tem lepiej. Na pewno przyjąć można, iż w takim gronie i przy takiej sposobności znajdzie się zawsze i aparat fotograficzny, który scenę tę na wieczystą utrwali pamiątkę.

Fotografja taka, o trofeach sercowych nie mówiąc, zwykle jest jedyną pani polującej pamiątką z przebytych wrażeń. Znosi ona „trudy myśliwskie“ nie dla pasji, nie dla chęci mordu — to najniewinniejsza istota — i mimo nowej ładownicy i świecącej strzelby, zabija tylko, gdy w nią morderstwo wmówiono. Kobieta taka poluje tylko dlatego, iż jest tam małżonek, częściej jednak dlatego, iż jest tam pan Alfred, Leon, Adolf, jeden albo lepiej jeszcze dwuch poruczników od ułanów a przedewszystkiem, iż tam jest „on“... Aby się przekonać, ile wdzięku życia i urozmaicenia daje towarzystwu polującemu taka pani, potrzeba tylko po rozstawieniu strzelców, po otrąbieniu obławy, przejść jeszcze raz ich stanowiska, a zastanie się ją, jeżeli nie z dwoma to przynajmniej z jednym z sąsiadów z papierosami i czekoladką w ustach przy miluchnym flircie.

Gdy to odemnie zależało t. j. że ja byłem kierującym obławą, to takiej polującej pani dostało się zawsze miejsce obok „niego“,—sąsiada zaś z drugiej strony ukryłem za sążniem szczapów lub grubym dębem, — i to wychodząc z tej zasady, iż należy się narazić na niebezpieczeństwo życia temu, kto chce sobie zasłużyć na „Pour le merite“.

Ale niech nikt z tego, co dotąd napisałem, nie posądza mnie wobec polującej kobiety o złe myśli, o złą wolę. Oświadczam publicznie, iż na polowaniach widzę chętnie kobietę i to obojętnie jaką, czy młodą czy starą, piękną czy brzydką, czy najukochańszą, która przyjeżdza w czasie przerwy z furgonem śniadaniowym, ze zrazami, bigosem i wódeczką. Co to za specjalik, — co za delikates... strzelby niema — człowiek tak bezpiecznie zajada...

Kłusowniczka.

Obraz kobiety polującej nie byłby kompletny, gdybym pominął polującą na zwierza wyjętego z pod prawa ochronnego, polującą — wszystkimi środkami, zdradziecko i podstępnie, a przed którą swego czasu w jednym z pism fachowych przestrzegałem najmilszą brać po mieczu i po strzelbie w następującej odezwie:

Karnawał Myśliwski.

Jak myśliwego bez strzelby, tak kobiety bez karnawału nie da się pomyśleć, bo karnawał jest dla niej głównym sezonem polowania. Tam zdobywa zięcia, narzeczonego, męża lub przyjaciela, stosownie do tego, czy w danym karnawale jest panną, czy młodą mężatką, czy matką córki na wydaniu. Kalendarz karnawałowo-myśliwski powiada, że w tym czasie wolno polować na zwierzynę męską wszelkiego gatunku.

Kobieta, która jak wiadomo, niebezpieczna jest dla rodu męskiego przez cały rok, w karnawale jest przecież najniebezpieczniejsza, bo posiada tysiąc środków, aby nas dostać na rozkład. Jako myśliwiec, jest kobieta wprost niezrównana i przechodzi wszystkich myśliwych zawodowych, bo wybornie strzela nawet z takiej broni, której wcale niema. A tego przecież nie potrafi najlepszy strzelec. Każdy myśliwy kłamie, ale dopiero po polowaniu, kobieta czyni to już podczas polowania, bo to jej najpewniejsza broń.

Umie też zastawiać sidła, jakich nie wymyślił ani Grell, ani Weber, a przywiatr, którym się do nich posługuje, jest szczególnie na słabość męską obmyślanym. Raz służy do tego dekoltowany biuścik i ramię obnażone, to znów przeświecająca przez pończoszkę nóżka różowa, czasem jeszcze wyżej od niechcenia ukaże się zachwycająca ponęta, do tego przychodzi zdradzieckie „Shimmy“, a wtedy już ofiara tumanieje, leci na swą zgubę, dostaje się w kleszcze samotrzasku na wieczystą utratę wolności.

Karnawał jest dla kobiety najstosowniejszym okresem polowania, bo zwierzyna, na którą się poluje, w tym czasie właśnie jest mało odporna, traci naturalne zmysły, osłabia jej się wzrok, słuch, słowem głupieje, jak głuszec podczas tokowiska.

Dlatego mężczyzna powinien przez cały czas karnawałowy nie wychylać się z domu i czekać cierpliwie na środę popielcową, która rozpoczyna tak konieczny dla nas czas ochronny.

Na powyższy „karnawał myśliwski“ od Nem-

rodki „w stanie spoczynku“ odebrałem następującą odpowiedź:

„Myśliwe piękne, pełne powabu i uroku, uzbrojone są lepiej niż armja pruska. Lecz, niestety, zwierzyna coraz trudniejsza, nie pod względem ilości, ale jakości. Kto temu winien, niewiadomo, ale zapewne rząd, który na tego rodzaju zwierzynę



Golębian w żelazach — p. Meske (wyróżnione).

prawnie czasu ochronnego dotychczas nie ustanowił i kapitalne okazy uczynił rzadkimi.

Obecny teren myśliwsko-karnawałowy smutny obraz przedstawia. Grubsza zwierzyna chowa się w jamach resursowych, lub ginie w nowozałożonych kabaretach i dancingach, a na łowisku same śpiczaki i zwyrodniałe stare kozły, którym za pierwszą sposobnością dopiero porządne rogi należałoby przyprawić. Dobre myśliwe do tego rodzaju zwierzyny nie strzelają, bo kuli szkoda, a nie ich wina, jeżeli takie biedne stworzonko padnie trupem na sam widok sztucera, lub od szkodliwszego jeszcze wystrzału butelki szampana.

A więc powiedz pan na kogo tu polować?“

Tak, tak panie Makuszyński lepiej nie wywoływać nam licha z kałamarza—a nużby znalazła się „pani pisząca“, która nie stworzyła epopei, ani 5 tomów liryk, nie jeździ do Zakopanego, nie mieszka w Sanato, nie naoliwia drzwi skrzypiących prowanską, ale zato dziegciem smaruje buty i harapik nosi w garści?

Niech św. Hubert strzeże, gdyby taka „prawidłowa“ zabrać się miała do nas.

Wł. Janta-Połczyński.

Rodzinna kronika myśliwska.

W dn. 11/X br. odbył się w Siedlcach ślub p. Jerzego Nałęcz-Dylewskiego, myśliwego i współpracownika naszego pisma z p. Zofją z Jeziorowskich. Młodej parze Redakcja nasza przesyła serdeczne życzenia.

SPROSTOWANIE.

Autorem artykułu „O tresurze sokołów“ w Nr. 19 naszego pisma jest pan St. Siedlecki, nie zaś p. A. Siedlecki, jak mylnie podano.

Zarząd Koła Łowieckiego Artystów Plastyków przy Warszawskiem Towarzystwie Artystycznem, Trębacka 10 nadsyła nam powyższe zawiadomienie:

Zarząd Koła Łowieckiego niniejszem podaje do wiadomości, iż ostatni termin nadsyłania prac przeznaczonych na wystawę „Łowiectwo w sztuce plastycznej“ upływa z dniem 3-go listopada włącznie; prace nadsyłać należy do Nowego Salonu Artystycznego Seweryna Jasielskiego (Wierzbowa 7). Otwarcie wystawy nastąpi nieodwołalnie 9-go listopada. Niezłożenie deklaracji nie przeszkadza do nadesłania prac. Na wystawę kwalifikują się wszelkie dzieła sztuki o treści związanej z łowiectwem.

Prezes: *Józef Ryszkiewicz.*
Sekretarz: *Józef Grein.*
Warszawa, dn. 23 października 1924 r.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński, Włodzimierz Korsak i B. Perzyński.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3-a.

Redakcja i administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Prenumerata kwartalna płatna z góry (z odsył. do domu) — **5 zł.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595.

Cena ogłoszeń strona — **80 zł.** 1/2 str. — **40 zł.;** 1/4 str. **25 zł.;** 1/8 str. — **15 zł.;** 1/16 str. — **8 zł.** Cena pierwszej i ostatniej strony o 50 proc. drożej.